Numer 47. Nal. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 24 Listopada 1929**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Nie zła myśl.

— Jakże się pani podobała poślubna podróż z mężem?

— Wybornie! Wszędzie mi gwałtownie nadskakiwano — i sądzę, że taka poślubna podróż bez męża — podobałaby mi się o wiele więcej.



Co mówią dzwony?

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków; a co tam powiecie Maciejowo?

— A to przyszłam do wielmożnego pana wedle poradzenia się. Wydał ci mię wielmożny pan za mego nieboszczyka, niech to Pan Jezus panu nadgrodzi! Ale cóż! Maciej zmarli już od półtora roku, a biednej gdowie ciężko na świecie, gospodarstwo idzie nijako!

— A cóż ja ci na to poradzę, moja Maciejowa?

— Bo proszę wielmożnego pana ten fornal Janek, to straszmie pracowity psia jucha, robota pali mu się w garści i okrutnie mnie miłuje.

— Ejże, czy nie miłuje on tak okrutnie twego gospodarstwa i tych pieniędzy, które ci nieboszczyk zostawił?

— Kaj zaś, proszę jegomości, to stateczny chłopak, jego do karczmy i kijem nie zagna.

— Hm, wszystko to dobrze, ale on młodszy od ciebie, jak się ożeni to może i szanować nie zechce.

— Już trudno proszę wielmożnego pana, tak mi ten ożenek i w dzień i w nocy we łbie siedzi, co bez to i za robotę jąć się nie mogę!

— Ha, to trudno ci radzić, ale ot, wiesz co? — dzwonią teraz w kościele na mszę, idź i słuchaj pilnie co ci mały dzwonek powie...

Po chwili wbiega zdyszana Maciejowa.

— No, cóż ci powiedział dzwonek?

— Oj wielmożny panie! dyć on mi wciąż tak wyraźnie gadoł: idź za Janka, idź za Janka, co aże mi dech z radości zaparło.

— No to i idź w imię Boże.

— W pół roku potem wchodzi znowu eks-Maciejowa.

— Oj wielmożny panie, już chyba nie wytrwam, a dyć ten zbereźnik z chałupy mię wygania! oj doloż moja, dolo! po co ja sobie świat zawiązałam! a i ten dzwonek tak mi źle poradził!

— A możeś ty źle słuchała? może on ci co innego mówił? ot i teraz dzwonią, idźże posłuchaj, a dobrze.

Po chwili wraca eks-Maciejowa z głową smutnie zwieszoną.

— Oj widno mię Pan Bóg wtedy odstąpił, kaj ja uszy miałam? a dyć ten dzwonek jak najwyraźniej godo! głupia babo! głupia babo!



Mądrość Icka.

W tych dniach słyszeliśmy jak małoletni Icek Grosfisz mówił do swego tatki:

— Wisz, tatke, co jak Mojżesz prowadził nasich przez morze czerwone a ja bim tam buł, to ja bim został na brzegu...

— Co ty gadasz Icele?

— Ny tak... Bo ja bim przy te czerwone morze założył wielgie farbiarnie...

Numer 47. Rok XII. Kraków dnia 24 Listopada 1929

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie: do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406 301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Pocz. Urząd Czek. 500.868.

O co toczy się walka?

Jak wiadomo, pomiędzy obecnym rządem a tak zwaną opozycją toczy się zacięta walka od chwili, gdy tylko obecny sejm został wybrany. I niejeden, kto nie zajmuje się polityką, walki tej zrozumieć nie może. Bo o cóż idzie? Jak wiadomo, za poprzednich rządów rozwielmożniło się pośród rządzących tyle złego, że kraj w szybkiem tempie staczał się ku przepaści. Złoty leciał na łeb, na szyję. Polska traciła znaczenie zagranicą, nędza zaczynała zaglądać do chat polskich. A już najgorzej dziać się zaczęło, gdy na czele rządu stanął po raz trzeci zasłużony przewódca Stronnictwa ludowego „Piast“, poseł Witos. Partyjnictwo było wówczas tak rozpanoszone, że p. Witos musiał robić ministrami nie ludzi najmądrzejszych, i najzasłużeńszych, ale tych, którzy mieli za sobą najsilniejsze stronnictwa. W rządzie polskim wytworzył się zamęt, a p. Witos nie miał sił, aby zło ukrócić.

Widział to Marszałek Piłsudski i w maju 1926 r. dokonał zamachu stanu. Wszyscy ci, którzy widzieli, jak już było źle z Polską, odetchnęli. Większość posłów prosiła Marszałka Piłsudskiego, aby objął władzę, aby został prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej. Marszałek odmówił. Na prezydenta zaproponował prof. Ignacego Mościckiego, sam zaś postanowił trzymać rękę na życiu Polski bądź jako prezydent gabinetu, bądź tylko jako minister spraw wojskowych. Większość stronnictw popierała go i w Polsce zaczynało się dziać lepiej.

Aż przyszły wybory do nowego sejmu. Społeczeństwo rozbiło się na dwie, a właściwie na trzy grupy. Otwarcie przeciw Marszałkowi Piłsudskiemu wystąpili kandydaci na posłów wszystkich narodowości niepolskich i komuniści, wrogowie każdego porządku społecznego, oraz narodowa demokracja, za Marszałkiem oświadczyli się wszyscy zorganizowani w tak zwanym Bloku Bezpartyjnym Współpracy z Rządem i kilka grupek pomniejszych. Inne stronnictwa, jak socjaliści i Wyzwolenie, znając ogromną popularność Marszałka, z imieniem jego śli do wyborów, choć jak niedaleka przyszłość okazała, nieszczerze.

Szczerzy zwolennicy Marszałka przeprowadzili do Sejmu jednak za mało posłów, aby w nim mieć większość, bo na 444 zaledwie około 130. Rozpoczęła się teraz walka. Rozmaite stronnictwa rwały się do władzy, boć przecie wiadomo, że władza tym stronnictwom, które ją dzierżą, daje rozliczne korzyści materjalne. Na czele wysunęli się socjaliści, którzy mieli pokaźną liczbę posłów, bo aż 64. Przy ich boku stanęli zaraz wszyscy wrogowie Polski, jakimi są Rusini, Niemcy i komuniści. I tych można było zrozumieć, boć przecie każdy wróg nasz cieszy się, jeżeli w kraju panuje zamęt. Ale nie można zrozumieć, dlaczego stronnictwa chłopskie poszły przeciw Marszałkowi, który, jak to zresztą wszystkim wiadomo, chce tylko dobra naszej Ojczyzny.

Poszły w kąt wszelkie programy, poszła w kąt wszelka praca, a po kraju rozległo się żądanie głowy rządu Marszałka Piłsudskiego. Nie zaprzeczamy, że tak obecny rząd, jak i poprzednie od czasu wyborów, popełnił niejeden błąd, ale błędów tych można było uniknąć, gdyby stronnictwa nie były rzucały kłód pod nogi temu rządowi, ale prostowały jego wadliwe poczynania i sprowadzały je na drogę korzystną dla społeczeństwa. Gdyby takich rozumnych rad rząd był nie usłuchał, wtenczas możnaby go było zwalczać. Ale to się nie stało, gdyż wśród tak zajadłej walki na spokojną pracę nie było czasu.

Tak przedstawia się sytuacja obecnie, ale co dalej, na to odpowiedzieć dziś trudno. Możliwe są dwie

ewentualności: albo Marszałek Piłsudski nie ulęknie się zacietrzewienia naszych posłów i Sejm rozwiąże, nada krajowi lepszą i mądrzejszą konstytucję i na podstawie zmienionej a mądrzejszej ordynacji wyborczej zarządzi nowe wybory, a przez to uratuje jeszcze raz naszą Ojczyznę od zguby, albo też skapituluje przed zjednoczoną opozycją i usunie się w zacisze domowe. Ale pytanie, co wówczas? Wszak każdemu, kto tylko choć co nieco się polityką zajmuje, wiadomo dobrze, że obecna opozycja ma dość siły, aby w myśl obecnej konstytucji rząd Marszałka Piłsudskiego obalić, ale pomimo najlepszych chęci nowego rządu nie potrafi utworzyć. Boć przecie ani pomyśleć nie można, aby takie stronnictwo, jak „Piast", posiadające w swych szeregach ludzi statecznych, poważnych i mądrych, mogło iść ręka w rękę z mniejszościami narodowemi i z jeszcze większymi wrogami Polski od nich, komunistami; nie można przypuścić, aby stronnictwo to poszło z socjalistami, którzy w swym programie mają upaństwowienie wszelkiej własności prywatnej. Nie pójdzie z temi stronnictwami ani narodowa, ani chrześcijańska demokracja, ani też narodowa partja robotnicza. A te stronnictwa bez mniejszości narodowych i socjalistów same rządu utworzyć nie potrafią, bo nie mają większości.

I tu właśnie tkwi cała tragedja obecnej sytuacji, której nasi posłowie zrozumieć nie chcą. Owładnął nimi jakiś szalony upór, w myśl którego żądają za wszelką cenę głowy obecnego rządu Marszałka Piłsudskiego, a nie chcą powiedzieć społeczeństwu, co dalej. A niestety, wielu z pośród nas im w tem pomaga.

My, nie należąc do żadnej partji politycznej, patrzymy na to życie polityczne bez żadnych uprzedzeń i bezstronnie, widzimy więc, że każda z naszych partyj ma w swym programie złe i dobre strony, a raczej złe dla jednych, a dobre dla drugich, ale widzimy też, że ta walka o władzę, jaka się obecnie toczy, może Ojczyznę naszą doprowadzić do zguby. Dlatego też pragnieniem naszem jest, aby posłowie nasi zaniechali bezużytecznych walk, a zabrali się do pracy, która jedynie korzyść społeczeństwu przynieść może. Niech posłowie nasi nie mówią nam, gdy nas zwołają na wiec: „Huzia na Marszałka Piłsudskiego!" ale niech nam powiedzą, co będzie dalej, gdy Marszałek się od rządów usunie. A jeżeli nam powiedzą coś, co my rzeczywiście uznamy za dobrodziejstwo dla Polski, wówczas powinniśmy ich poprzeć całą siłą. Dopóki nam tego nie powiedzą, obowiązkiem naszym jest wzywać ich do umiarkowania, aby wybawionej z niewoli Polski na nowo nie zgubili. Wiece i ujadania nie zapewnią nam dobrobytu, ale przeciwnie mogą kraj popchnąć do zguby, a nas pogrążyć w wielką i trudną do odrobienia nędzę.

Zgoda buduje, niezgoda rujnuje — o tem trzeba pamiętać zawsze i wszędzie!

HENRYK RÓŻYCKI.

SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

IX.

Rankiem drugiego dnia, Krak w towarzystwie Skuby szedł w stronę Wawelu.

Szli wolno, bo każde dotknięcie sprawiało mu dotkliwy ból w głowie.

Krak rozglądał się po okolicy. Dłużej zatrzymał wzrok na Wawelu i wodził oczyma po jego szczycie.

— Miejsce jakby stworzone na gród! — rzekł do Skuby.

Zostańcie, panie, z nami, a zbudujemy warownię, jakiej żaden dotąd władyka nie posiadał!

— Nie mnie ani Semingowi budować tu zamki!...

— Dlaczego? — pytał skwapliwie Skuba.

— Ja mam swój u mego rodzica nad morzem i tam mi do niego pilno! A on!...

— Potwór i morderca! — dokończył Skuba — i zgrzytnął zębami i pięścią pogroził w stronę pieczary.

Przystanęli u stoku góry, a Krak jakoś dziwnie poglądał na Skubę.

Myślał, jakby wynagrodzić Skubę i głowił się, jakby to zrobić, aby nie urazić wysubtelnionego poczucia godności tego młodzieńca.

Postanowił zaprosić go do swego namiotu, ale nie wiedział, jak to zrobić, ponieważ obawiał się, że zawziętość Skuby może spowodować jakieś następstwa, których za wszelką cenę chciałby uniknąć. Nie wiedział też, czy zaproszenie przyjmie, a przyjmując, czy nie skorzysta z okoliczności, aby wykonać zamach na księcia, przyczem mógłby sam swoją głowę narazić na niebezpieczeństwo, od którego pewnie nawet on nie mógłby go uwolnić.

Z krótkiego z nim obcowania poznał charakter Skuby i wiedział, że to, co raz postanowi, bez względu na następstwa, konsekwentnie wykona. I był przekonany, że próżny byłby trud, aby go od tego odwodzić, bo to powodowałoby tylko większą zawziętość, a tylko spokój i czas mógłby go od zemsty wyleczyć.

Z drugiej zaś strony poznał, że on chociaż najeźdźca jego dziedzin, zapanował wszechwładnie nad jego jaźnią i że jego wola jakiś nieprzeparty przymus wyciska na jego duszy.

Poglądał też na Skubę, jakby wzrokiem chciał go uczynić podobnym swoim zamierzeniom.

— Dzielny z ciebie młodzian i chciałbym, abyś wstąpił w szeregi mej służby! — rzekł po chwili.

Skuba pomyślał chwilę, wreszcie odrzekł:

— Służyć, panie, nie będę, bom wolny, wam równy i nie nawykły ani ja, ani żaden z mego rodu!... Ale jeżeli każecie coś dla siebie zrobić, to zrobię!

Zdumiał się Krak hardą odpowiedzią.

— Honorny i o swą godność dbały! — pomyślał.

— Ale mógłbyś być mi towarzyszem!...

— Byłbym, gdybyście porzucili smoka i przystali do nas! Miarkuję, że najlepiejbyście na tem wyszli i lepiejby wam to pasowało, bo wymiarkowałem i to, żeście wy, panie, nie z ich plemienia wywiedli swój ród!...

— Niezwykły z ciebie chłopak!... Wiedz, że chociaż jestem w szeregach najeźdźców twego kraju, do tego, co i ty, należę plemienia i twoja mowa jest moją macierzystą mową... Nie z chęci zysków jestem jego

towarzyszem, ale z woli mego ojca, władyki, aby poznać kraj i nauczyć się tego, czego nam najbardziej brakuje, swojego rzemiosła!... Chodź ze mną do mego namiotu!...

Skuba ścisnął mocniej oszczep, oczy błysły mu ogniem.

Krak poznał te ogniki w jego oczach.

— Ale w księcia nie będziesz godził!...

— Zabiję go przy każdej sposobności!...

— Nie zabijesz!... Ponieważ ja tak chcę — rzekł Krak z naciskiem i surowy wzrok utopił w źrenicach młodziana.

— Przynajmniej na dziś musisz tego zaniechać!...

— Za dużo odemnie chcecie!... Nie mogę przystać!

— Ja wnet odejdę, a wtedy rób, co ci się podoba! Lecz wiedz, że przedtem ostrzegę księcia!...

— Wolno wam panie! Ale mnie nikt nie zabroni pomścić Salwidy.

— Pomścisz ją później!...

Skuba utkwił wzrok w ziemię, ręką tarł czoło, coś rozważał, wreszcie po chwili rzekł:

— Dobrze!...

— Więc dasz mi słowo, dopóki ja nie opuszczę groty, ty nie będziesz godził w księcia?!

— Dam, bo mam nadzieję, że zabić jego wy mi pomożecie!...

Krak zbladł i mimowoli oglądnął się wkoło.

Odtąd jakaś zaduma obsiadła jego czoło.

Ruszyli i za chwilę wdarli się poprzez zarośla na szczyt i stanęli u wysokiego płotu, którym Normandowie ogrodzili swój obóz, aby się zabezpieczyć od dzikiego zwierza.

Kilku ludzi, zbrojnych w oszczepy, łuki i długie u boków żelazne miecze, stało w odstępach na strzał z łuku wzdłuż ogrodzenia.

Spostrzegłszy przybyszów, nałożyli spiesznie strzały na cięciwy łuku, ale wnet poznali swego wodza, chociaż ubrany był niesamowicie, w parciany strój tubylców. Przyszło im to tem łatwiej, że w podobnym stroju widywali go dość często, goszcząc na dworze jego ojca przed wyprawą.

Jeden z nich podprowadził go do uplecionej z łoziny furtki i z żołnierskim ukłonem wpuścił ich do środka.

Z pomiędzy drzew doleciał ich gwar pomieszanych głosów, swąd dymu i woń pieczonego mięsa.

Tu i ówdzie pod pniem rozłożystego dębu, albo buku, stał na prędce zbudowany z gałęzi szałas, nakryty świeżą korą świerka, a przed każdym mnóstwo ludzi zaszytych w skóry, obrócone włosem na wierzch, w kołpakach z rogami tura, wołu a nierzadko barana. Postacie barczyste, rosłe, groźne, strojem swych głów, które jakąś niesamowitą grozą przejmowały zdziwionego Skubę.

A wszyscy byli zajęci jakąś pracą.

Jedni siekierami obciosywali belki, inni ciągnąc długą żelazną blachę ze zębami misternie wyciętemi, rżnęli grube kłody na cienkie kawałki, które znowu dalsi łupali na cienkie deski.

Skuba mimowoli przystanął i patrzał na nieznane mu narzędzia. Dziwował się, jak blacha przez tarcie wyrzucała drobiny drzewne i wąziutką szczeliną zagłębiała się coraz dalej w drzewo.

Coś podobnego nie widział w życiu.

— Żeby to taką zębiastą blachę nabyć! — pomyślał. Jakby to łatwo można budować domy! Ileż to pracy trzeba, żeby jego bronzową siekierką przerąbać drzewo!... Albo te ich siekierki żelazne. Rąbią i rąbią, trzaski lecą gładziutko, oddzielone od pnia, a oni nawet nie ostrzą. On swoją omal za każdym ciosem musi pociągnąć osełką, bo inaczej stępiona nie czepia się drzewa. Dobrzeby było mieć taką, boby osełkę raz na zawsze wyrzucił z za pasa.

— Muszę się zapytać Kraka, gdzie można nabyć takie narzędzia, bo nasi muszą je mieć — pomyślał.

Im bliżej brzegu Wisły, tem gęściej stały szałasy i więcej spotykali ludzi zajętych jakąś pracą.

Na samym brzegu zbocza stromo staczającego się ku Wiśle, na szerokiej polanie, ogołoconej z zarośli i drzew, stał większy od innych, zbudowany z choiny jodły i świerka, pokryty szczelnie dużymi płatami kory drzewnej szałas, przed którym trzech ludzi piekło nabitego na rożen odartego ze skóry barana. Jeden zbrojny, siedząc na głazie przed wejściem do szałasu, wiązał mozolnie cięciwę ukręconą z jelit do drzewca łuku, z którym nijak nie mógł sobie poradzić, bo drzewo co chwila wymykało mu się z ręki.

Krak w towarzystwie Skuby, naszedłszy siedzącego z nienacka, stanął niespodziewanie nad nim, a widząc jego mozoł, zagadnął:

— Nie poradzisz Raningu!... Zostaw to lepiej Zdunowi, on to lepiej potrafi!...

Raning podniósł głowę i przeciągle spojrzał na przybysza. Zdumiony puścił łuk z dłoni i szeptał:

— Czy czary, czy co?!...

— Tyś to Kraku?...

Skoczył i ściskał towarzysza.

— Ale co znaczy ta maskarada?! Gdzie podziałeś twe skóry? — pytał, oglądając jego ubranie, przyczem jakoś nieufnie spoglądał na obok stojącego Skubę.

— Opłakałem cię, Kraku, bo myślałem, że topielice mają cię już w swojej opiece!

— Mało brakowało! Ale tym razem wydarł mnie im ten oto młodzian! — Tu wskazał na Skubę, który stał na boku i ciekawie rozglądał się w koło.

— Kto to? — pytał ciekawie po normandzku.

— Tubylec!

— I on ci dał pomoc?!...

— Z narażeniem własnego życia!...

— Dziw!

Zbliżył się do Skuby i dziękując, ściskał mu prawicę, który nic a nic nie rozumiał, co ten od niego chce.

Widziałem z brzegu, jak łódź wywrócona wtłoczyła was w toń. Śledziłem potem, czy się nie pokażecie na powierzchni wody, aby wam nieść pomoc, ale nadaremnie! Kilka razy mignął mi jakiś ciemny punkt na fali, ale ludzkiej postaci nie widziałem więcej, więc myślałem, żeś utonął, a ja nawet objatę odbyłem za tobą, byś lepiej mógł trafić w krainę cieniów!...

Weszli do namiotu, usiedli na głazach, a Krak opowiadał szczegóły ostatnich wypadków przyjacielowi, który spoglądał na dorodną postać Skuby i dziwował się niezwykłym jego czynom.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nie na dzień jeden.



Nie na dzień jeden siejesz swoje ziarno,
Ale na jutra czas nieurodzony:
Więc bez wytchnienia kraj tę ziemię czarną,
By od twych pługów garbate zagony

Zabrzmiały pieśnią zbóż złocistych gwarną.
Choć nieraz wichry i susze wygarną
Twym krwawym potem wydobyte plony,
Wytrwała praca twa nie będzie marną...
Nie na dzień jeden!

Powrócił!...

Był chłodny jesienny, listopadowy wieczór. — Ciemność legła na ziemi, bo niebo zawlekły czarne chmury, że ni śladu gwiazd, ani księżyca. Ino wiatr w ciemności hula, jak rozbójnik, po ciemku, z nienacka chwyta w krzepkie ramiona drzewa, gałęźmi siepie, odziera z liści, nagina pnie, zadziera strzechy. Szerokie bary pod węgły chałup podsadza, za drzwi, za okna jak zębami chwyta, szarpie, targa... Krzywdują se, płaczą i zawodzą tarmoszone drzewa, stękają z wysiłku bierwiona i belki. A wicher jesienny, zimny, przejmujący, rozbija się po świecie — przezacny!

Wąską dróżką pod pagórek, na którym wieś drobnemi szybkami świeciła, samotny szedł wędrowiec. Zmęczony widać był, bo mu ciężko szło — niesporo. Po oślizgłej ścieżce nogi raz wraz to w tył, to w bok się ślizgają, na nierównej, wyboistej drodze pełno kałuż i błota rzadkiego, że nie sposób wszystkie wyminąć. A tu wiatr poniewiera, szarpie odzież, odpycha gwałtem w bok, chłoszcze twarz, zapiera zdyszane piersi! Oh, ciężko. — A tu do wsi widnej na wzgórzu jeszcze ze trzy kilometry.

Nieco bliżej zapewne — jasne światełko z okna błyska. Spostrzegł je utrudzony podróżny i ucieszył się. Nowych sił dobywa, kijem sobie jak może pomaga. Przecie nie odmówią dobrzy ludzie ciepła i spoczynku. Byle dograjdać! A tu jeszcze jak na dobitek deszcz drobny, zimny, przejmujący, ostry bić w twarz zaczyna, a ciemność się zgęszcza, że drogi pod stopami wcale nie widać.

A w izbie u Kasprowej zacisznie jest, widno i ciepło. Kasprowa do pieca suche ziemniaczane łęciny przykłada, a te palą się z trzaskiem, wieczerzę ciepłą gotuje, a jej córka dorodna, hoża dziewczyna, przy stole białem płótnem nakrytym, blisko lampy naftowej, szyje pochylona. Białe palce szybko wbijają i chwytają igłę, ciągną długą nić, znów wbijają igłę w białe płótno, przewłóczą ją i ciągną... Czuwającemi oczyma strzeże swej pracy, a tuż za oknami wiatr wyje, skowyczy, jęczy, krople deszczu o szyby dzwonią.

Duży czarny kot skoczył z pieca na środek izby, przeciągnął się, jakby chciał zmierzyć, ile przez ten czas, kiedy spał, podrósł — i usiadłszy, kocim zwyczajem począł jedną po drugiej łapki oblizywać i myć niemi dokumentnie cały nos, wąsy i podbródek.

— Patrzcie matusiu jak się kot myje, pewnie będzie gość.

— Adyć prawda — ciewy! Ale ktoby ta do nas na taką biedę przyszedł?

— Ehej, a jakby kto na zaloty? — żartobliwym głosem pytała dziewczyna, poglądając z pod oka na matkę.

— Na zaloty? Ho, ho, co ci się przyśniło? Żebyś to miała ze sześć mórg albo z dziesięć tysięcy, toby się i zalotnik niejeden znalazł, ale tak? Cóż z tego, że się ludziom podobasz, żeś robotna i stateczna, i żeś przystojna, kiej teraz ino na pieniądze, na grosz wszyscy patrzą.

— Dajcie mama pokój — a jakby tak do was kto się trafił? — Przecieście gdowa.

Zadumała się smutnie kobiecina, patrząc na płonące węgle...

— Gdować ja, gdowa, hej Boże! Ani ja gdowa, ani żonata! Taką mi dolę dał Pan Jezus, taką! Ano, trudno, niechta, wola Jego święta — trza znieść.

— Kiedyście wy mama strasznie źle zrobili, żeście za starego Tomachę nie poszli. Cztery morgi swojego pola Tomacha ma, dożywocie.

— Ano, może i źle, ale żałować nie myślę.

—Abo i Pietr z Żytniar — młody jeszcze chłop, ino troje dzieci, gospodarka jak się patrzy. Magda teraz na Pietrowej zagrodzie panią stroi.

— Niechże jej Pan Jezus niczego nie skąpi, nie zazdroszczę jej. — Mnie haw tak lepiej.

— Wiecie mama, mnie się widzi, że wy to się jeszcze na ojca oglądacie. No nie? Zdaje wam się, że się jeszcze kiedy wrócą.

— Eej, choćby się chciał wrócić... Darmo, już się nie wróci, kajta, dwadzieścia lat jak pojechał, jedenaście, jak o nim nic nie wiemy... Tyle czasu... postarzałam się ja, a on kto wie, może już na boskim sądzie... Choćby się i wrócił, choć to na nic. Za młodu nie chciał na mnie patrzeć, za innemi się uganiał, a na starość by? Szkoda śnić...

— Chyba strasznie przystojny i zuch chłop byli ten nasz ociec, prawda? — pytała dziewucha dość obojętnie, choć ciekawa była. Bo skądżeby do nieznanego ojca i to takiego, co matkę rzucił i dziecko, skądżeby głębsze żywiła uczucia?

— Zuch był, jużci... Wysoki, zgrabny w sobie, oczy miał siwe. Tyś krzynę z twarzy do niego podobna. — Czupryne miał czarną, gęstą, bujną. Jak se ją odgarniał, spoglądały za nim dziewki, a i chłopa na nic mi zbałamuciły. Miałby już z pięćdziesiątkę... Do śpiewu miał lekki głos...

Wtem skroś fruwań wiatrowych dało się słyszeć mocne stukanie we drzwi. Po chwili niedowierzającego nasłuchiwania, ozwało się powtórnie.

— Ktosik przyszedł — idźno Franiu otwórz.

— Kiej tak ciemno, wietrzysko, boję się — idźcie wy sami.

— Ciewy, ciewy, boi się, idźże, cóż to złodziej czy bandyta jaki? Miałby po co do nas przyjść — idźno.

Rada nierada poszła Frania, rozwierając szeroko drzwi od widnej izby.

Ze dworu przez drzwi otwarte wpadł zimny wiatr do wnętrza, aż płomieniem lampy targnął i wraz obcy, ubłocony, zmoczony wszedł podróżny. W jednem ręku miał koszyk podróżny, a w drugiem kij. Był już starszym mężczyzną, o czem mówiło zbróżdżone oblicze i siwe włosy na brodzie. Cała jego dosyć wysoka postać była znacznie pochylona. Gdy zdjął czapkę, kobiety ujrzały, że był łysy.

— Niech będzie pochwalony. Dobry wieczór!

— Na wieki wieków, witajcie do nas.

— Bóg zapłać dobra kobieto. Będę was pięknie prosił, możebyście mnie zechcieli przenocować. Na dworze bieda, że psa trudno wygnać, błoto, wiatr, ciemno, deszcz, ustałem do krzty — zanocujcie.

Kobiety popatrzały chwilkę badawczo, i nawet nieufnie na gościa. Siwe jego oczy prosto przed się patrzyły, a twarz, choć o ostrych rysach, przecież była przyjemna i sympatyczna. Porozumiały się oczyma i Kasprowa rzekła:

— Nie wiem, czy wam wygodnie będzie u nas, bo ciasno, jedna izbina, my biedne, ale kiej zechcecie, zanocujcie, przecie miejsca nie wyleżycie.

— Bóg-że wam zapłać! Oj, dajcież mi się teraz ogrzać, bo mię to zimnisko jesienne do cna przejęło.

— Jużci, bo zimno, ogrzejcie się, zaraz i wieczerza będzie. A zdaleka tak idziecie?

— A od stacji, kawał drogi, będzie blisko dwie mile, prawda? Idę do Żytniar, już chyba niedaleko?

— Niedaleko, będzie jednak z pół mili.

— To tu gdzieś będzie wieś Chruściska, prawda?

Błysnęły mu oczy ciekawością, gdy pytał.

(Dokończenie nastąpi).

WPROWADZENIE CHRZEŚCIJAŃSTWA.



Mamy przed sobą podobiznę obrazu Jana Matejki p.t. »Wprowadzenie chrześciaństwa«. — Rzuciwszy nań okiem, zwrócimy uwagę przedewszystkiem na rozciągającą się gdzieś w dal przestrzeń, wśród borów i lasów. Poza zgromadzonym ludem rozciąga się jezioro, wielkie nieprzejrzane, nad którego brzegami rozciąga swe ramiona krzyż Chrystusów, pierwszy na ziemi polskiej. A obok krzyża stoi książe polski, Mieczysław i patrzy z radością na te tłumy pozyskane dla prawdziwej wiary. A na samym przodzie spotykamy kmiecia, naszego praojca, z żoną, który, już ochrzczony, czuje, że to dobre, co go spotkało, ale tęskni przecie za tem, co było; wierzy w nowego Boga, ale ludziom nie dowierza, powolny, rozważny, zupełnie jak dziś. — Każda figura przemawia żywo do naszej wyobraźni, a patrząc na obraz, poznajemy, że go malował mistrz prawdziwy, — chluba narodu polskiego.

Koń, wół, kogut, kot i rak.

(Bajka).

Jeden gospodarz, zaprzęgał wspólnie do pługa konia i wołu. Wół szedł w pługu leniwiej, koń prędko — obydwom nijako było, i bardzo się nawzajem męczyli. Mówią zatem do siebie:

— Nasz gospodarz napróżno nas dręczy; na konia wołać wio! na wołu: ściacha! nie dłużej razem; lepiej go porzućmy, idźmy w świat, szukać chleba, co nam po takiej niewoli!

I poszli obaj w świat za kawałkiem chleba, że się nawet nie spodział gospodarz, kiedy go opuścili.

Idą, — a tu za niemi leci czubaty kogut i pyta się:

— Sąsiedzi, kaj wy idzieta?

— Tak idziemy w świat, gdyż nie możemy wybyć dłużej u naszego gospodarza; źle nas żywi, do tego nierozumnie męczy — odpowiedzieli wędrowcy.

— Ej, to i ja póję z wami — rzekł kogut.

— Cóż tobie za niewola — mówią koń i wół, — gospodyni ci ziarno daje, nasiedzisz się w cieple, potem bracie, choćbyśmy cię wzięli, jakże z nami pójdziesz?

— Co mnie za niewola? chcecie wiedzieć? oto widzicie, bardzo wielka; jestem obowiązany budzić wszystkich z rana, jeżeli wczas pieję, parobek zły na mnie, bije, szturka, żem go obudził, i musi do dnia robić; gdy zaś późno zapieję — to znów gospodarz swarzy na gospodynię, czemu późno jadło zgotowała, a gospodyni: huzia na mnie. Więc też nie mogąc nikomu dogodzić w chałupie, wolę iść precz. Nie bójcie się, bym nie nastarczył; nastarczę, bo mam skrzydła, będę podlatywał.

— No to pójdź kogucie — powiedzieli tamci — i razem się pojęli z sobą. Kogut im piał w drodze, podlatywał. Było im też i weselej.

Idą, idą, — aż tu ni stąd, ni zowąd wyleciał kot i woła:

— Miau, miau, coście za jedni, gdzie idziecie?

Oni trzej opowiadają kotowi przyczynę swej wędrówki, który na to:

— Hej przyjaciele, to i ja póję z wami.

— A cóż tobie za niewola, mój kochany — mówią oni — złapiesz myszkę u gospodyni w szafie, napijesz się mleka i mruczysz pacierze na zapiecku, oto cała twoja robota.

— Ho, ho, rzekł kot, tak wam się zdaje, lecz wiedzcie o tem, że i dla kota czasami trafi się ciężka służba, myszy pełno w stodołach, w izbie, a kiedy jeszcze są i szczury, rób co chcesz, nie dasz rady. — Gospodyni zła, że kot leniwy, mleka mu nie da — myszy się przejedzą, ze szczurami bij się na umór — o czem? o głodzie? nie głupim tego robić więcej. — Wskoczę ci koniu na grzbiet, — i wio z wami na cały świat; niech żyje swoboda! nawet i dla biednego kota wolność potrzebna.

Wszyscy się roześmiali, kot wskoczył na grzbiet koński, — i ruszyli razem.

Idą, idą, — a tu cosik niedużego pełza na ziemi.

— Stójcie, przyjaciele wolności, gdyż i ja idę zwami.

Z wielkiem zadziwieniem wędrowcy spostrzegli raka. — zaczęli sobie żartować z niego:

— Kajbyś ty szedł, i cóż ci to za niewola? — siedzieć w rzece, grzać się do słoneczka albo chodzić w głębinie!

— Przyjaciele, nie rozumiecie moich interesów — rzekł rak — pókim był młodszy, siedziałem w dziurze,

teraz młodsi dziury pozabierali w wodzie, starszemu, trzeba się tłuc po mule, lada kto przyjdzie i złapie — jak swego, a wierzcie mi i rak nieborak, nie jest bez kłopotów, pójdę z wami, niech się ze mną dzieje, co chce.

To wyrzekłszy, rak nieborak złapał się kleszczami za ogon wołu, i wszyscy pięciu, w najlepszej z sobą zgodzie w dalszą podążyli drogę. Koń z wołem popasali na łąkach, rak szukał wody dla nich i dla siebie, kot łapał myszy i ptaszki i bawił ich po drodze figlami, kogut po ścierniskach ziarna wynajdywał i był jak na warcie — dosyć, że mieli swobodnie i nikt im głowy nie suszył.

Jednego razu, gdy była wielka słota i deszcz, rak tę biedę znosił, lecz drugim było nijako; szukali więc schronienia i noclegu pod dachem. Znajdują za lasem pustą chałupę, własność wspólną dwóch djabłów, — starszego i młodszego. Djabły poleciały właśnie hulać z czarownicami, chałupa stała otworem. Podróżni weszli do niej — koń mówi:

— Zostanę dla chłodu w sieni.

Wół rzecze:

— Ja wolę cieplej mieć w izbie — wszedł do izby.

Kogut powiada:

— Mnie nie wypada siedzieć gdzieindziej, tylko na żerdzi pod pułapem.

Kot myk za piec, a rak wlazł do cebrzyka z wodą; dosyć, że wszyscy ulokowali się po swojemu. Gdy minęła północ, wrócili djabli z hulanki. Starszy się pakuje do sieni, a spostrzegłszy konia, woła:

— Kto to jest?

— Ja pan z tabakierką, odpowie koń i dał mocnej tabaki zażyć djabłu, bo go urznął kopytami w nos aż mu krew pociekła. Djabeł ani pyta, wchodzi do izby; zobaczył wołu i krzyczy:

— Kto tu jest:

— Ja, chłop z widłami stajennemi — rzekł wół i dalej djabła brać na rogi.

Djabeł się nie spostrzegł, że był pijany, więc go wół zbił, zwalił na ziemię, zwyczajnie jak bestyją bestyja. Djabeł wstał, dalej do pieca, — tu kot, hop na niego. Djabeł odskoczył, woła:

— Kto tu?

— Ja, kowal z miechem. Dopiero jak kot zacznie dmuchać, djabeł odskoczył na bok, utknął na cebrzyku. Wyszedł rak z cebrzyka i kleszczami go szczypie w nogę. Djabeł syknął:

— A to co?

— Ja, krawiec z nożycami — mówi rak.

Djabeł chce wskoczyć na górę, wtem kogut jak zapieje:

— Dawaj go nam! — tak się zdawało djabłu, że jeszcze więcej lokatorów znajdzie na górze. — Więc wypadł z chałupy i drapnął co duchu między drzewa. Drugi djablik młodszy już się nie chciał narażać na podobne niebezpieczeństwa, więc też za tatulenkiem w nogi, hala! do lasu, — bo tam bezpieczniej. Dosyć, że pięci uwędrowców zajęło po nich chałupę na własność — i w niej się rządzili po swojemu, jak im lepiej było i póki mogli.



Powiadają starzy ludzie, a i ja sam wiem o tem, że nie śtuka się ożenić, bo i byle bejdok to potrafi, ale trudniej dobrą babę znaleźć. Bo tak na oko zdaleka, to one się wszyćkie dobrze wydają, ale jak sie jem człek z bliska przypatrzy, to całkiem to jest inacyj. A lacego tak jest, to ja sam nie wiem, bo nie wiele babie potrzeba, aby była naprawdę dobra. Nie wiele, bo ino trzech rzecy, a i o te trzy rzecy tak u niej trudno. Człek ta nie jest organista, zeby za bardzo przebirał i byle cem by się kontentował, byle ino która te trzy drobiazgi posiadała, o których powiadam.

Jak wiadomo, tom ja ta juz nie dzisiejsy i nie z jednego pieca chleb jadłem, to wiem to i tamto, a jesce takiej baby, jak mi potrza, nie spotkałem. Zem nie byle co, to przecie wszyscy wiedzą, bo któż to podcas wielkiej wojny obronił nieboscyka cysarza przed Moskalami, jak nie ja? Kto się za niego bił w Karpatach i w Italji, jak nie ja? Co prawda, to ja sie tam na harmaty z Moskalami nie grzmocił, le przecie w Sącu la siarzi ziemniaki skrobałem, a przecie i to coś znacy. Jakby więc nie ja, to jesce prędzej nieboscke Austryję byliby grzysi wzięli.

Nie dzisiejsy ja, a przeciez takiej baby, jak potrza, jesce nie znalazem. A moze kto z was wie o takiej, to niech mi powie, to ja sie z nią cemduchu nawet kilka razy ozenie.

Prawdziwa baba, odpowiednia do ozeniacki, powinna mieć ino trzy rzecy. A więc najpierw trzy rzecy wielgie, to jest chałpę, pole i gębę, aby było w co uwalić, jak sie człek rozeźli.

Dalej trzy rzecy carne: jałówkę, krowę i spodnicę, bo biała to sie prędko ochlapie i trzeba ją co rok prać, i to ino strata casu i niepotrzebne wydatki, bo przecie zyd za darmo mydła nie da.

Trzy rzecy białe: gęsi, płótno i mąkę na kluski, bo choć i z razowej dobre, ale z białej lepse, zwłasca jak ich jest duzo i cęsto.

Trzy rzecy małe: prosięta, dzieci i żołądek, zeby duzo nie zarła, bo co do jedzenia, to juz ja wolę sam jeść, a baba niech robi, bo ją do roboty Poniezus stworzył. A co do reśty, to se kupie tomasyny lub kainitu i bez babskiego jedzenia sie obejdzie.

Trzy rzecy mocne: nogi, plecy i chusty, aby się prędko nie darły, bo ja na loteryje nie stawiam, aby babie co parę lat nowe chadery kupować.

Trzy rzecy tępe: język, zęby i pazury, coby mi ślipiów nie wydarła, jak sie pohandrycywa i ja ją za to porządnie spiere.

Te trzy rzecy kużda mieć musi, któraby sie za mnie chciała wydać. Prawda, że to niewiele, a chcecie mi wierzyć, cy nie, ale ja wam powiadam, ze w całej Psiej Wólce ani jednej takiej dziopy niema, któraby je wszyćkie posiadała. Pytałem się o to gazyciarzy, cyby sie tam w Krakowie jaka taka nie znalazła, a oni mi odpowiedzieli, ze w Krakowie łacwiej o porządną pluskwę, jak o jaką taką krowę, a choćby nawet jałówkę. Miescuchowi, jak się zachce mleka, to idzie na Rynek i tam dostanie go, ile zechce, bo podkrakowskie baby okropnie mlicne i nigdy jem go nie braknie.

Ale Kraków to jesce nie świat cały, latego tez ja sobie tak myślę, ze jak rozpisę licytacyje na moją cnotę, to się taka hurma pisań do mnie zwali, ze będę miał w cem wybierać i w cystości nie zejdę z tego świata.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Nowa Kaledonja III.

Życie Nowokaledończyków przedstawia wiele ciekawych szczegółów. Zacznijmy od małżeństw. Zwyczajnie o zawrzeć się mającym związku małżeńskim wyrokują sami rodzice. Syn najczęściej zgadza się na wszystko, córka nie zadawalnia się tak prędko, ale milczy z obawy kłopotów.



Igrzyska i uczty.

Rodzice pana młodego posyłają pannie młodej podarunek, złożony z artykułów żywności, n. p. snop trzciny cukrowej lub kosz kokosów. Skoro te dary przyjęte i spożyte zostały, sprawa jest ukończona. Córka należy już do rodziny pana młodego, bez względu na to, czy jest już dorosłą, czy jeszcze w kolebce; zdarza się bowiem, że córki jeszcze w kolebce zaręczone bywają; wtedy zostają u rodziców aż do dojrzałości; czasami jednak, lubo rzadko, wychowują się w domu swoich teściów.

Po upływie jakiegoś czasu wspólnego pożycia państwa młodych rodzice pana młodego wezwani są do złożenia okupu za synową. W dniu oznaczonym zbiera się cała rodzina, znosi podarki (artykuły żywności) na umówione miejsce, ustawia je w stosy, a na jednym z nich składa szkatułkę z perłami. Rodzice panny młodej rachują złożone dary, a jedno z nich pyta się reszty członków familji:

— Czy potrzeba zmierzyć sznur pereł?

Zwykle bywa odpowiedź potakująca. Chodzi tu bowiem o to, aby na wypadek możliwego rozwodu zabezpieczyć wynagrodzenie pieniężne stronie przeciwnej. Nieraz się zdarza, że ojciec, chcąc córkę dać w zamęźcie w sposób nieodwołalny, oświadcza stanowczo:

— Biorę te perły bez żadnego zobowiązania zwrotu.

Wtedy już rozwód jest trudniejszy. Uczta i tańce kończą uroczystość. Taką uroczystość weselną widzimy na naszym pierwszym obrazku.

Rozwody są tu częste i liczne. Zwykle większa połowa związków małżeńskich kończy się rozwodem.

Narodzenie pierwszego dziecięcia ustala dopiero prawdziwe małżeństwo i daje powód do nowej uroczystości w kole rodzinnem.



Połów ryb i pląsy.

Dzieci w pacholęcym wieku chodzą, jak aniołki, nago i rosną pod okiem matki. Gdy już kończą rok siódmy, ojciec mówi:

— Trza dać dziecku odzienie!

I zaraz gotowe już nowe zebranie rodzinne, biesiady i ceremonje, podczas których ojciec daje dziecku plecionkę z liści, nawiązanych do sznurka z sierści zwierzęcej. Ta przepaska daje przywileje, odtąd chłopiec ma prawo towarzyszyć ojcu w żegludze, w rybołostwie i na roli, a nawet brać udział w pewnych zabawach i igrzyskach.

Mieszkańcy Nowej Kaledonji przed przybyciem

Europejczyków nie mieli żadnych czworonożnych zwierząt, ani drobiu domowego, pożywienie ich było głównie roślinne, morze mogło jedynie dostarczyć im pokarmów mięsnych, stąd rybołostwo należy u nich do najczęstszych i najważniejszych zatrudnień. Wszystko, co żyje, idzie na połów. Kobiety i dzieci zbierają ślimaki, ostrygi i inne jedno- i dwuskorupne żyjątka; mężczyźni poławiają ryby. W pewnych czasach pojawiają się gromadnie około wysp wędrowne ryby, jedne mniejszych, drugie większych rozmiarów, od małych sardynek do ryb na metr długich. Wielkie ryby, obsaczone sieciami, na kilkadziesiąt metrów długiemi, zabijają oszczepami i wyrzucają na brzeg lub do łodzi; sardynki napędzają w matnie i wyciągają na ląd. Żółwie napotykają się dość często na pustych skałach koralowych, o kilka mil odległych.

Taki połów ryb widzimy na drugim naszym obrazku u dołu na prawo. Nieco wyżej „rycerze" nowokaledońscy tworzą szpaler przy wejściu na cmentarz, a na lewo rozciąga się wieś nowokaledońska, przed którą mieszkańcy jej wyprawiają jakieś uroczyste igrzyska, które wywołuje lada okazja, gdyż krajowcy tamtejsi pracować nie lubią, ale natomiast są wielkimi zwolennikami wszystkich zabaw.

Na zakończenie dodać jeszcze wypada, że u Nowokaledończyków kobieta uważana jest za niższą istotę od mężczyzny. Używana jest do najcięższych robót, jest właściwie niewolnicą mężczyzny. Nie wolno dotknąć się kobiecie pokarmu przez mężczyznę przygotowanego, ani nawet wziąć do ust wody, choćby przez brata przyniesionej. Mąż jest tyranem żony, wolno mu dla błahych powodów karać żonę, przyprawić o kalectwo, a nierzadko i śmierć zadać. (C. d. n.)

JULJAN BACZYŃSKI.

Złoty trzewiczek.

Powieść z XII wieku.

19. Wilkołak.

Od pagórka ukazał się jakiś cień ogromny. Zdawało się, iż z pomiędzy drzew wypadł straszny chłop i pędzi, łamiąc gałęzie, na dół. Na głowie sterczały mu wysoko zamiast włosów długie kije, w biegu migał żywo, a wycie wilka rozlegało się ciągle.

— Umykaj, widzisz zielone ślepia, wilkołak pędzi, pożre cię!! — wrzasnęła baba i schowała się do dziupli w dębie.

— To wy się boicie, taka z was wiedźma? — krzyknął Bartos, chociaż głos mu zadrżał. Nogę naprzód wystawił, oparł się na niej i kijem daleko naprzód na wilkołaka się zamierzył, zapominając o lisie na ramieniu. Wycie wilka ustało, a zaraz rozległ się przeciągły pogwizd, który daleko lasem pobiegł. Zadudniało przy dębie.

— Toś ty?!! — wrzasnął dziko ogromny chłop, przypadłszy przed Kordasa. — Złapałem cię raz, złodzieju, rabusiu, ha!!

Zajrzał mu do samych oczów, chwycił go za ramię i zatrząsł nim jak habiną.

— A co?! — odrzekł głośno, lecz dygocącym głosem Bartos. Wtem baba wypadła z dębu.

— Bartos, gdzie wilkołak, nie ma go, co?...

— Ach... to wy Sylwer?!

Drążek, dysząc cały, powstał na nią.

— Pieczarzyno, gębę stul, jam ci wilkołak, co?! Niebo i Bóg nad nami, nijakich wilkołaków, nie mówił ksiądz?... poganko stara, piekło przed tobą!

Baba syknęła, splunęła i uciekła za dąb.

Drążek zdjął teraz ogromny łuk i strzały, co mu wysoko sterczały ponad głową, obrócił się do Bartosa i głośno krzyczeć począł:

— Bartos, to ty mi zwierzynę płoszysz i łapiesz, wierzyć nie chciałem!... Zwierzynę królewską, nie byle jaką o, Bóg ciężko cię skarze, Pan Jezus nie odpuści, a ja ci tu dam!! I znów zatrząsł nim jak snopem. Bartos się cofnął, jakoś się nie bał, ale ciężko mu było wyrzec słowo.

— Ojcze, o jednę skórkę wam chodzi tak?... A no to bierzcie sobie tego lisa! — zawołał po chwili. I podniósł ręce, aby lisa podać Drążkowi. Wtem na ziemi dał się słyszeć lekki łomot i tupot. Bartos pochylił się nagle i wrzasnął:

— O do Peruna, o do wszystkich djasków!!

I zaczął biedz od dębu pod pagórek. Coś trzasnęło, skrzypnęło, a to Sylwer łuk napiął, a potem wielkimi krokami za Bartosem pospieszył.

Te nagłe ruchy Bartosa i Drążka spowodował niedobity i zatajony lis, który od czasu, jak przyszedł Drążek, błyskał już coraz częściej ślepiami, nabierał siły, wreszcie skorzystał z pory i zrazu zwolna, potem nagle zesunął się z ramienia Bartosa na ziemię. Nim ten się spostrzegł, przebiegłe zwierzę sunęło w bok i pomknęło w las. Królewski nie bylejaki lis obydwom ścigającym machnął parę razy ogonem, zakpił z myśliwych i zniknął w gęstwinie.

20. Przestrach czarownicy.

Gdy ani Drążka ani Kordasa nie było już widać, Pieczarzyna wyszła z poza dębu, stanęła i głową kiwać poczęła.

— Głupi jędzoniu, — mruczała — będziesz ty Jagnę miał, tak samo, jak tego lisa! Malej ci krew w wątrobie ze złości skiśnie, malej ci osierdzie nad brzuchem z jankuru pęknie, malej, malej... własne obaczysz ślepie, oj!

I, zwrócona przez chwilę w głębię lasu, palec na oku sobie położyła, a potem spojrzała w ogień, który pod dębem już dogasał.

— Głupi Kordasie — mruczała dalej — jasnej Zofki nie chcesz, a miałbyś i zwierza i skór i miodu dosyć, o!

Nagle zahuczał las. W głębi pośród drzew dało się słyszeć niezwykłe jakieś zamieszanie. Pisk krótki, zerwany poryk i gwizdanie rozległy się kilkakrotnem echem, rozstrzeliły się w różne strony, i nikły w oddali. Nagły tupot, łamanie i trzask suchych gałązek i liści, jakieś gonitwy i wyścigi zwierząt słychać było ciągle. Coś gwizdnęło w pobliżu i zachrobotało wśród gałęzi. Skrzypnęły i zaszumiały szczyty drzew, uginając się pod nagłym skokiem spłoszonej wiewiórki. — Przeraźliwy pisk strząśniętych sennych ptaków popłynął z falami powietrza.

Wtem w pobliżu rozległ się nagły łomot i żałośliwe beczenie. Pieczarzyna przycupnęła do dębu, trzymając drżącego kota, co się do niej tulił.

Od pagórka w ogromnych susach pędziły wprost na dąb jakieś zwierzęta. Oto przy dalszych błyskach ognia widać młodego jelonka, jak sunie pod dąb, szukając schronienia, i za nim pędzące straszne wilczysko.

Pieczarzyna puściła kota i porwała żywo płonące patyki; oparłszy się o dąb, wywijała nimi z całym zamachem, wrzeszcząc na całe gardło:

A hu, a hu, wilku wściekły,
Skądże czarty cię wywlekły?!
Przez te ognie, przez te ciemnie,
Precz odemnie, precz odemnie!!

Ale wilk nie myślał o Pieczarzynie, mając przed sobą młodego jelenia. Ten przerażony popędził już dalej, wilk dognał go zaraz i wpadł na niego, oba w gwałtownych rzutach stoczyły się w dół do strumienia. I zaraz w powietrzu rozległo się przeraźliwe beczenie szarpanego zwierzęcia.

Pieczarzyna wychyliła się w dół, chcąc dojrzeć, co się tam dzieje.

— O dobrze! — mruknęła, ściskając dłonie — Swarożyce tak zrobiły temu mądrali Drążkowi, nie zastrzeli jelenia król, pożre go wilk, o dobrze tak staremu!

Lecz zaraz ją strach ogarnął i poczęła rozmyślać:

— Wilk tutaj, ten zbój tutaj? — pytała ze drżeniem.

— Dotąd zdaleka tylko wyły, przez częstokół przełażą, pożreć mię mogą, o, czegoś się boję, gdzież moje czary, o?!

Zatrzęsła się cała i przez żółte zęby wybiegły jej słowa modlitwy.

— O wielki Boże, Panie Jezu Chryste!

Mowa Drążka przyszła jej na myśl. Spojrzała w niebo, potem spiesznie dorzuciła patyków, by podsycić ogień i padła na kolana.

W dolinie cicho, słychać tylko trzask płonących gałązek, od których iskry rozsypują się daleko. Ognisko wielkie koło dębu się pali, a do ognia wilki nie przyjdą. Stara wiedźma klęczy z wzniesionemi do góry rękoma i dygocącemi usty odmawia modlitwy. — Wśród łamiących się cieni nocnych widać przy ognisku jej suchą postać w płachtę odzianą, jej rozstrzępione siwe włosy i kościste ręce do góry wzniesione.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Hymn do pracy!

Świtanie... Na zagon pradziadowski trza iść...
Wstawajmy!
Hej!
Już słońce przez szpary złotem żywem wchodzi
I kładzie nam na ustach pocałunek dnia,
Słodki, bezszelestny, już dzień!
Hej młodzi!
Do pracy!
...Spleciony siatkami pajęczyn złoty las ścierniska
Lśniący djamentem dygocącej rosy
Tnijmy krzywą sochą, jak nożem,
Potem w szary szmat ziemi zapuśćmy zębiska
Bron kolczastych, i ślijmy pieśń siewną pod niebiosy,
By trud nasz był tak lekki, jak ta piosnka zbożna.
Więc dalej!...
Niech sypnie grad złotych ziaren na szarą płachtę gleby,
Niech kiełkuje zielonym pędem na żyznym naszym trudzie,
By zapachnął znów latem ciężkim kłosem chleba,
Co karmi miljony ciężkiej dłoni ludzi...
Hej bracia! — rolnicy!
Nie rańmy serca, że nam nie śpiewa skowronek,
Że wiatr nas chłoszcze przydługim śpiewem jesieni,
Że głuche nasze zagony...
Zacznijmy z Bogiem.
Hej młodzi do pracy!
Jesienny błysnął dzień...

Józef Frasik.

WINCENTY KUGLIN.

W zaklętym młynie.

(Na nutę ludową).

(Dokończenie).

Żołnierz nie tracił przytomności. Lecz nagle poczuł się obezwładniony i uderzony czemś twardem w głowę. Omdlał! Nic już o sobie nie wiedział, zdało mu się, że leci w jakąś czarną otchłań, ciemną, okropną. Omdlał.

III.

Wybrał się stary Bartosz do młyna w samo południe. Idzie tedy od wsi krokiem miarowym, poważnym przez las, przez miedze polne, aż przyszedł na równinę, skąd widać było za lasem drugim hen w dolinie młyn wielki. Idzie więc ku wzgórkowi małemu, gdzie rosła wierzba spruchniała z wielkim otworem. „Czy wrona w niej?“ myśli chłop — widząc przez du-



żą dziuplę jakiś łeb. Dobrze jeszcze nie pomyślał, gdy wyskoczyło coś. „Djabeł!“ Chłop ze strachu otwarł gębę, jak miech, i ręce rozkrzyżował. A djabeł jak nie huknie:

— Uchodź, nie wolno ci do młyna.

I skrył się w drzewie. Bartosz poprawił czapy i pędzi — ile mu tylko stare nogi pozwolą. Aż tu spotyka żołnierza wracającego skądś.

— Hej, człowiecze, czy wrócił Jasiek Bartoszów z wojska do wsi?

— Mój Jasiek?

Pomieszały mu się prawie zmysły od wrażeń.

— A nie panocku!

— A coście taki wystraszony?

— Satany są!

— Gdzie?

— We wirzbie haniok. Do młyna nie dadzom iść. Raty raty, Matko Bosko gromnicno...

Żołnierza tchnęło dziwne przeczucie. Był on kolegą Jaśka. Nie wrócił tedy Jasiek, skoro sam ojciec jego nie wie. Starowinie w głowie się widocznie miesza. I myśli. „Ale dlaczego do młyna iść nie dał mu

djabeł? Musi coś w tem być“. Wrócił tą samą drogą. I oto, gdy przyszedł ku spruchniałej wierzbie, wyskoczyła jakaś osoba dziwna i z wrzaskiem okropnym popędziła przed siebie. Żołnierz puścił się w pogoń za djabłem oczywista. Ale dognać szatana nie mógł, gdyż ten zniknął w gęstym lesie. Lecz ścieżką przyszedł przed młyn. Młyn stał głucho. Nie mełto w nim nic. Milczał jak zaklęty. Ale coś w nim się działo. — Posłyszał jakiś jęk i krzyki. Obszedł młyn dookoła. Spojrzał do góry do małego okienka. I o zgrozo! Zobaczył twarz swego kolegi Jaśka. Ramiona miał obnażone, widocznie był nagi. Okropne! Odskoczył z przerażeniem, widząc straszną twarz kolegi i jego szamotanie się z czemś tam na górze. Dobył gołej szabli i runął ku drzwiom wchodowym. Począł ciąć! Daremnie! Szabla zwichnęła się, o mało nie pękła. Czas naglił! Pobiegł ku kołu rozpędowemu. I tu przebiegłość szatanów małą była, gdyż otworem koło osi przedarł się żołnierz do wnętrza dolnej sali młyna. Szczęście też miał, gdyż wór, który z niewiadomych powodów spadł z góry na niego, nie trafił go. Tu drzwi nie były pozamykane. Zaledwie przeszedł parę kroków i zbliżył się do schodów prowadzących do góry — zobaczył niezwykłą scenę. Człowieka prawie nagiego goniła jakaś baba okropna, trzymając coś w ręce. Za nią przeraźliwie chudy, stary gnał człowiek. Poznał żołnierz, co to jest! Poznał Jaśka. Runął jak to dawniej bywało.

— Nie zabijaj! — rzekł Jasiek nagi i zaraz pobiegł na górę.

— A pilnuj ich Franek!

Młynarnica zmartwiała i padła na kolana przed żołnierzem, a stary dziad za nią.

— Nie ruszać się psy wściekłe, bo tnę!

Ryczał Franek, a dłoń go świerzbiła od złości. — Jakoż za chwilę przybiegł Jasiek z góry ubrany w mundur ze szablą. W ręce trzymał grube powrozy.

— Jasiek! Co to za stary dziad, ten okropny?

— Ten! Nie wiem! Wiem tylko tyle, że to zbrodniarz i w jego małej norze na górze jest pełno głów ludzkich. On to ubezwładniwszy mię i zatruwszy snem twardym, kazał rozebrać mię z munduru, przy pomocy okropnych djabłów. Ale na tyle jeszcze wróciłem do sił, żem walczył z nimi, jak mogłem! Nie miałem szabli, to grunt! Nędznicy! Zbrodniarze!

Powiązali ich w powrozy. Stary wyglądał okropnie.

— Z nim po naszemu rozprawimy się Franku! A tę babę przywiążę do koła rozpędowego. Śliczna młynareczka. Może za mężaś mię chciała?

Młynareczka sykła okropnie. Jakoż zda się nie tęgo była związana, gdyż wysunęła rękę błyskawicznie i z „zanadrza“ wyjęła długi nóż. Mignęła stal. — Nóż nie trafił jednak w głowę Jaśka, ale drasnął go w ramię.

— Suka! — zaryczał. — Teraz wiedźmo naokoło wsi cię obwieziemy!

Franek pilnował z szablą w ręce, a Jasiek popędził na wieś. Wnet wieś cała obległa młyn. A dowiedziawszy się wszystkiego i zobaczywszy czaszki ludzkie w mieszkaniu starego potwora, którego nikt nie znał, zabrali na wóz młynarnicę. Na pośmiewisko ludzkie. Odjechali! Żołnierze zabrali świece ze młyna i starego powiązanego ze sobą powlekli.

— Wiesz co?

— No!

— On, kiedy mnie zbito, chwycono podstępem, kazał mi mundur zdjąć, mówiąc, że munduru tknąć nie może, tylko człowieka. A wiesz, że mundur poświęcany! Psiakrew! Potwór!

— Warjat!

— My teraz go rozbierzemy i nagiego na gałęzi w lesie posadzimy, paląc dookoła świeczki.

I tak zrobili. I w gęstym lesie siedział na gałęzi ów tajemniczy człowiek, co tyle ludzi życia pozbawił. Żołnierze na dole, śmiejąc się do rozpuku, salutowali mu gracko. Stary, nagi, ów człowiek tajemniczy otworzył usta, coś chciał powiedzieć. Zdawało się, że mówił: jestem ten, który w piekl... Gdy w tem spadł z gałęzi. Zahuczał bór, ozwał się piorun w lesie. I ledwie żołnierze mieli czas wydobyć szable, kiedy stary nagi człowiek zamienił się nagle w ogromnego potwora. W smoka. I o dziwo, nie uderzył na nich żadnego, tylko potężnem swem cielskiem obalał drzewa stuletnie w lesie jak słomę. Wybiegli strwożeni z ciemnego boru, a przed niemi daleko w dolinie błyszczała ogromna woda, wieś stała cicho, a młynu nigdzie nie można było dojrzeć.



Nasze śpiewy narodowe.

Nic wspanialszego, nic wznioślejszego, nic tak nie cechuje wesołości i żywotności ludów, jak ich śpiewy. Naród, który wiele śpiewa, jest prawdziwie szczery i otwarty — przeciwnie narody gnuśne, zamknięte w sobie, nie wydające żadnej lub bardzo mało melodyj z piersi swej, coś niedobrego knują w sobie, karłowacieją, przesycają się samolubstwem, są harde w wzajemnem pożyciu, zatracają w sobie miłość Boga i bliźniego. Śpiew i wesołość, to jest zwierciadło poczciwej duszy, to odbicie szczerego charakteru człowieka, echo jego uderzeń serca, to odgłos tajników dusz ludzkich. Każdy naród na świecie pielęgnuje swoje śpiewy narodowe, przekazując je z pokolenia w pokolenie i strzegąc ich czystości, jako skarbu.

Polska nasza od początku swego istnienia odznaczała się przedewszystkiem swym śpiewem, sielankami, które naród dziwnie pokochał i wbił sobie w pamięć, zachowując ich nieskalaność potomnym. Może żadna kraina nie poszczyci się tylu pieśniarzami — poetami i wieszczami, co nasza miła Polska. Tylu pieśni religijnych w formie Psalmów, kolend, pieśni na każdy okres roku kościelnego prawie żaden naród nie posiada. Już w zarodku istnienia naszej Ojczyzny śpiewano pieśń bojową „Boga Rodzica-Dziewica“, której twórcą był św. Wojciech. O jej starożytności świadczą wyrazy i zdania, jakiemi posługiwano się w zamierzchłej przeszłości literatury naszej. A w jakiej cenie była u narodu naszego, niech zaświadczy jej starożytność, iż przez tysiąc blisko lat zachowano ją w nieskalanej formie. Widać, że Polacy cenili sobie śpiewy i pieśni, które pisali dla nich ludzie święci, ludzie charakteru i nieposzlakowanej przeszłości.

Z pieśnią „Bogarodzica“ wyruszano w bój krwawy i z nią na ustach wracano z pola bitew, po walnych zwycięstwach, których setki Polacy odnieśli. — Pieśń ta była cudownym talizmanem w ustach wierzących przodków naszych, toteż, niech nie będzie dziwno, że na wroga z chyżością wichru i zaciętością lwów uderzano.

Albożktóż określi wspaniałość pieśni i trenów, czy psalmów Jana Kochanowskiego, swego czasu największego poety w Polsce?

Pieśni u nas jest bardzo wiele, tak że nieznani — nam są nawet ich autorowie. Widać, że naród polski kochał śpiew, kochał pieśń sercem całem, przez co wyrobił w sobie tę wesołość i rzeźkość, jaką słyną Polacy.

Bardzo wiele pieśni, sielanek, arji i t. p. wyśpiewali domorośli pieśniarze, zwani dawniej bardami, wyszli z ludu, z pod słomianej strzechy, których struny szczere dźwięki wydają, naturalną harmonją płyną, nie zamącone sztucznemi lub fałszywemi głosy. Dużo, bardzo dużo jest tych piosenek sielskich, dużo pieśni patrjotycznych, niestety, po naszych zabawach mało ich używamy. Zapominamy o pięknych sielankach i tak podniosłych śpiewach narodowych a zastępujemy je często niemoralnemi strofy. Nasza młodzież wstydzi się śpiewu czy nie chce się wyuczyć treści tylu pieśni narodowych a choćby i sielskich. Powiedział ktoś, że naród, który nie śpiewa, coś knuje i jest niebezpieczny. Obyśmy nie należeli do takich ludów. Więc wskrześmy, zapragnijmy śpiewania pieśni patrjotycznych i sielskich w przyzwoitej formie, a wiele smutków zniknie z pośród naszej biedy, wiele zadowolenia wniesiemy w społeczeństwo, które dzisiaj tak melancholijnie żywot swój toczy. Nie zaniedbujmy polskiej pieśni, bo póki ona nam przewodniczy, póty my trwamy. Śpiewajmy w doli i niedoli, w radości, czy bólu... — śpiewajmy zawsze dla Boga i Ojczyzny.

Walenty Pasierb.

Poradnik gospodarczy.

Nawożenie łąk.

Podstawą należytej hodowli jest naturalny wychów i dobra pasza. Z powyższego wynika konieczność dobrego pielęgnowania łąk i pastwisk. Do należytej zaś pielęgnacji łąk należy niewątpliwie racjonalne nawożenie. Jeżeli nawadniane łąki muszą być dodatkowo nawożone kompostem i nawozami pomocniczemi, to tem więcej dotyczy to łąk wysoko położonych, a więc suchych. Ponieważ porost potrawu i drugi pokos roślin pastewnych w tym roku wobec długotrwałej suszy zawiódł, musimy więc poważnie liczyć się z brakiem paszy na wiosnę. Powinien zatem przezorny rolnik w przeświadczeniu powyższego silnie na jesień, względnie wczesną zimą nawozić łąki, a zwłaszcza pastwiska nawozami potasowemi i fosforowemi, by pobudzić je do wcześniejszego wydania paszy na wiosnę. Po obecnym suchym roku nie pomyśleć o silnem nawożeniu łąk i pastwisk jest wielkim błędem, który na wiosnę może poważnie dać się rolnikowi we znaki. Szczególnie kwas fosforowy musi być roślinom w dużej ilości poddany, aby korzenie w dostatecznej ilości mogły się nim nasycić. Lecz niemniej nie wolno nam zapomnieć o nawożeniu potasowem. Wyłączne nawożenie temi składnikami odżywczemi przyczynia się, że trawy ustępują szlachetnem roślinom motylkowem jak koniczynom, wykom i t. d. Ponieważ rośliny te jednakże nie lubią następować po sobie kolejno przez parę lat, dlatego nikną z latami. Ponieważ bujny porost traw jest konieczny, da się to osiągnąć małym dodatkiem azotu. Wystarczy dać 50 kg. nawozu azotowego na morgę. W miejsce saletry lub azotniaku możemy użyć dobrej gnojówki, zawierającej normalnie dużo amoniaku. Lecz zapomnieć nie należy, że ponieważ gnojówka ma azot i potas a mało fosforu, nigdzie tak jak tu nie jest konieczne silne nawożenie kwasem fosforowym. Jeżeli więc przy gnojówce nie uwzględnimy nawożenia kwasem fosforowym, otrzymamy siano, które w miejsce szlachetnych roślin, będzie w dużą ilość mniej wartościowych roślin obfitowało.

Jako nawóz potasowy jest na łąki i pastwiska nisko procentowa sól potasowa lub kainit najodpowiedniejszy, a których conajmniej 3 do 4 cetnarów na morgę stosować należy.

Jako nawóz fosforowy jest bezapelacyjnie tomasówka najlepszym i najrentowniejszym nawozem. — Wysoka zawartość wapna, które się gasi i rozkłada w roli, przyczynia się do rozwarcia darni łąkowej, przez które wnika intensywnie powietrze do korzeni roślin. Pionierską tę robotę wapna tomasyny żaden inny nawóz fosforowy wykonać nie jest w stanie. — Utrzymanie się w glebie na łące kwasu fosforowego tomasyny wobec ulew i deszczów, co szczególne ma znaczenie na pastwiskach górskich, jest najwymowniejszym argumentem, przemawiającym za koniecznym wyborem tomasyny na łąki i pastwiska.

Częsta zawartość żelaza na łąkach nie pozwala pod groźbą utraty całego nawożenia kwasem fosforowym do wyboru innego nawozu, jak tomasyny. Są to prawdy niezbite i uchylenie się od ich przestrzegania powoduje nieraz straty, o rozmiarach których rolnik nawet w przybliżeniu nie zdaje sobie sprawy.

Nie mówiłbym o tem, sądząc, że sprawa stosowania na łąki i pastwiska jako nawozu potasowego kainitu — a jako nawozu fosforowego — tomasyny, jest naogół przestrzegana, i że weszła poniekąd na skutek długoletnich doświadczeń w krew rolnikowi. Zaobserwowałem jednakże, że rolnicy próbują stosować na łąkach inne nawozy, których wartość dotąd nie doświadczoną, względnie należycie opartą na takiej ilości doświadczeń nauki i praktyki, jak kainitu i tomasyny.

Ostatniego nawozu radzę stosować w nadmiarze przynajmniej w pierwszym roku, gdyż rośliny szczególniej na łąkach i pastwiskach muszą czerpać kwas fosforowy z pełnego, jeżeli mają skutecznie wykorzystać inne składniki pokarmowe, dane jej w jakimkolwiek nawozie organicznym.

Jako najniższą dawkę uważam w pierwszym roku 4—5 cetnarów na morgę. Jeżeli tak nawieziemy łąki i pastwiska, to w następnych latach możemy zredukować normę tę do połowy, a wtenczas nawet w latach posuchy łąki wydadzą dobry sprzęt. Nie postawi nas to wobec braku paszy przed koniecznością licznego zredukowania bydłostanu, co wobec mniejszej produkcji mierzwy w konsekwencji fatalnie odbić się może na stanie kultury gleby odnośnego gospodarstwa.

Mimo trudności konjunktury gospodarczej, rzucam tych kilka słów upomnienia rolnikom, by uchronić ich przed gospodarką rabunkową gleb ornych, — powodowaną niedostatecznem nawożeniem łąk i pastwisk.

Nigdy bowiem tak, jak w tym roku, gdzie gleba jest głęboko wysuszona, a łąki i pastwiska częściowo wprost spalone przez długotrwałą suszę, nie występuje dla nas kardynalny obowiązek zasilania nawozami pomocniczemi naszych łąk i pastwisk. Jest bowiem pewnikiem udowodnionym, że nawozy sztuczne właśnie w latach suchych najlepiej się opłacają, zatrzymując przytem większe zasoby wilgotności w glebie niźli pola lub łąki nienawożone nawozami sztucznemi.

KRONIKA.

Rocznica odzyskania Wolności. W poniedziałek dnia 11 b. m. przypadała jedenasta rocznica odzyskania naszej niepodległości, gdyż w dniu 11 listopada 1918 roku, czyli w dniu, w którym przybył do Warszawy z niewoli w Magdeburgu Marszałek Piłsudski, Polska stała się dopiero naprawdę niepodległą. Rocznicę tę w całej Polsce obchodzono nadzwyczaj uroczyście. We wszystkich większych miastach odbywały się piękne uroczystości, połączone z pochodami, wieczornicami, porankami i zebraniami, na których wznoszono entuzjastyczne okrzyki na cześć Marszałka Piłsudskiego.

Miljon na walkę ze szpiegostwem. Każdy z ministrów otrzymuje od sejmu pewną kwotę, z której nie potrzebuje przed sejmem zdawać rachunków, czyli tak zwany fundusz dyspozycyjny. Pieniądze te idą na rozmaite podróże urzędowe, dary na cele społeczne, przyjęcia i reprezentacje i t. p. Taki fundusz otrzymuje również minister spraw wojskowych i niemal cały przeznacza na walkę ze szpiegostwem. Oczywiście rachunków z tego funduszu publiczności zdawać z łatwo zrozumiałych powodów nie może. Sejm nasz zeszłego roku znacznie fundusz ten dla Marszałka Piłsudskiego zmniejszył tak, że walka ze szpiegostwem w Polsce byłaby niemal niemożliwą. Ten błąd Sejmu naprawili jednak byli obrońcy Ojczyzny; zarządzili pomiędzy sobą składkę i w ubiegłą niedzielę wręczyli Marszałkowi Piłsudskiemu książeczkę oszczędności na przeszło miljon złotych. Żołnierze lepiej zrozumieli potrzebę obrony Ojczyzny przed szpiegami, aniżeli nasi posłowie.

Układ sił w Sejmie. Celem lepszego zrozumienia naszego artykułu wstępnego podajemy niniejszem układ sił w Sejmie polskim. A więc do stronnictw, popierających rząd Marszałka Piłsudskiego należą: Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem posłów 121, N. P. R. lewica posłów 5, odłam socjalistów (dawna frakcja rewolucyjna) posłów 11, Związek chłopski (Stapińskiego) posłów 3 czyli razem posłów 140. Stronictwa zwalczające Marszałka Piłsudskiego są: Narodowa demokracja posłów 37, Chrześcijańska demokracja posłów 15, grupa Korfantego posłów 3, Stronnictwo ludowe „Piast“ posłów 12, N.P.R. prawica posłów 14, socjaliści posłów 53, Wyzwolenie posłów 40, Stronnictwo chłopskie posłów 25, czyli razem posłów 199, a więc znacznie mniej aniżeli połowa wszystkich posłów. Do stronnictw, które będą każdy rząd polski zwalczać, należą przedewszystkiem komuniści w liczbie 7, dalej Rusini rozmaitych odcieni 40, Niemcy 21, żydzi 13, oraz Białorusini 9, czyli razem 83 posłów. Kilku posłów nie należy do żadnego stronnictwa, reszta mandatów narazie jest nieobsadzona. Jak z tego wynika, nie mają w Sejmie większości stronnictwa popierające rząd, nie ma jej opozycja polska, nie mają też i mniejszości narodowe. Dlatego też rozsądni i uczciwi posłowie powinni za wszelką cenę dążyć do jakiejś zgody, aby z kłótni naszych nie ciągnęli zysków wrogowie nasi.

Katastrofa autobusowa pod Krynicą. Dnia 10 b. m. nad ranem miała miejsce pod Krynicą wielka katastrofa autobusowa, której ofiarą padło 9 osób. Autobusem, stanowiącym własność Maksyma Tyliszczaka, powracało do Krynicy towarzystwo, złożone z 16 osób, z zabawy tanecznej w Muszynie. W chwili, gdy autobus znalazł się w Krynicy wsi, kierowca Stefan Biel, będąc dobrze podchmielonym, zasnął przy kierownicy, autobus, pozbawiony kierowcy, jadąc z szybkością 50 km. na godzinę, najechał z całą siłą na drzewo przydrożne. Skutki zderzenia były fatalne. Z jadących 16 osób odniosło ciękie uszkodzenia 5 osób, zaś 4 osoby lżejsze. Autobus uległ zupełnemu rozbiciu. Rannych w nader ciężkim stanie przewieziono furmankami do pobliskiej Krynicy, gdzie udzielono im pierwszej pomocy lekarskiej. Nadmienić należy, że autobus był nadmiernie obciążony, gdyż przekroczył dopuszczalną liczbę pasażerów o 4 osoby.

Rozruchy na wsi. W Jaworniku koło Strzyżowa wybuchły w ubiegłym tygodniu rozruchy chłopskie. Na polach włościańskich przeprowadzona być miała komasacja gruntów. Niezadowoleni z tego chłopi, uzbroiwszy się w siekiery i cepy, wyruszyli tłumnie na pola i zaatakowali inżynierów, przeprowadzających pomiary. Wobec groźnej postawy chłopów roboty narazie przerwano, dając znać o zajściach do Lwowa, skąd wyjechał niezwłocznie do Jawornika podinspektor policji Łoziński na czele oddziału 50 posterunkowych. Równocześnie w gminie Iwonicz wynikło zajście pomiędzy miejscowymi gospodarzami a członkami komisji komasacyjnej, Pomiarów jednak nie przerwano. Miejscowi gospodarze od dawna przeciwni byli przeprowadzaniu komasacji ich gruntów. W okręgowym urzędzie ziemskim interwenjowali nawet w tej sprawie posłowie ludowi. Oświadczono im, że sprawa może być rozpatrywana, o ile zainteresowani gospodarze wniosą do urzędu podania! Podanie takie rzeczywiście zostało wniesione, jednakże nie przez zainteresowanych włościan osobno, ale przez zwierzchność gminną Iwonicza, którego nie rozpatrywano wcale. Władze wojewódzkie zawiadomiły o zatargu ministerstwo reform rolnych, które wysłało na miejsce zajść swego delegata.

Mord rabunkowy w Turynce. W Turynce powiatu żółkiewskiego napadli wieczorem dwaj uzbrojeni bandyci miejscowego włościanina, Stefana Waseczkę, liczącego lat 60, który pełnił zarazem funkcję kasjera gminnego. Tenże w tym samym dniu miał otrzymać przesyłkę z Ameryki w kwocie 20 dolarów, które niestety przyprawiły go o zgubę. Jeden z napastników zbliżył się z nienacka do Stefana Waseczki i uderzeniem motyki rozpłatał mu czaszkę. Nazajutrz miejscowy posterunek policyjny przyaresztował na podstawie pewnych poszlak dwóch chłopów turynieckich, wielokrotnie już karanych a podejrzanych o dokonanie powyższej zbrodni. Przybyli ze Lwowa z wydziału śledczego funkcjonarjusze policyjni wraz z psem policyjnym odstawili do sądu pod zarzutem morderstwa dwóch rabusiów z Turynki, którzy niedawno opuścili mury więzienia, obu nazwiskiem Jan i Michał Słuka. Sekcję zwłok zamordowane go przeprowadził lekarz miejski z Żółkwi.

Mąż żywcem spalony. Kroniki sądowe nie notowały jeszcze tak strasznej zbrodni, jak ta, której ofiarą padł Józef Pułanik, spalony żywcem przez swą młodą żonę, Jannę. Pułanikowie żyli niezgodnie i rozeszli się wkrótce po ślubie. Separacja zrodziła kolizje majątkowe. Spierano się o podział kamienicy, nabytej na wspólne imię małżonków. Gdy wreszcie ukończono rokowania, prowadzone za pośrednictwem trzecich osób, Pułanikowa, przebywająca w majątku swych rodziców, Dziemborowa pod Częstochową, zaprosiła męża do siebie w celu ostatecznego zakończenia rozrachunków. Pułanik skorzystał z zaproszenia. Dziemborowie przyjmowali go nader gościnnie. Następnego zaraz dnia po przyjeździe wyprawili w rodzinnem kółku na jego cześć libację, uwieńczoną zupełnem zamroczeniem Pułanika, który wypił ponad miarę. Żona ułożyła go na łóżku, a tymczasem towarzystwo wyszło na spacer. Pozostała jedynie Pułanikowa, by czuwać przy nietrzeźwym mężu. W pół godziny potem do rodziców, znajdujących się o ćwierć kilometra od domu przybiegła Pułanikowa z krzykiem: Pali się! Ruszono co tchu na ratunek. Z pokoju, gdzie leżał Pułanik, buchały kłęby dymu. Dzięki energicznej

pomocy sąsiadów ogień zdołano ugasić. Okazało się, że spłonęło jedynie łóżko, w którego resztkach leżały straszliwie opalone zwłoki Pułanika. Całkowite niemal zwęglenie nóg świadczyło, że ogień powstał od tamtej strony. W wyniku śledztwa Pułanikową stawiono przed sądem okręgowym pod zarzutem spalenia męża żywcem, po uprzedniem oblaniu go naftą. Morderczyni wypierała się winy i kręciła, jak mogła, ale sąd ostatecznie winę jej udowodnił i skazał mężobójczynię na 8 lat ciężkiego więzienia.

Historja jakich mało. W sądzie w Piotrkowie zasiedli na ławie oskarżonych małżonkowie Gruczkowie; on oskarżony o dwużeństwo, ona o pośrednictwo. Małżeństwo to wzięło ślub w Częstochowie w lutym 1924 roku. Pożycie ich nie było jednak szczęśliwe. Żona mało dbała o dom i męża tak, że ten często sam prać sobie musiał bieliznę. Małżonek zaś lubił ładne dziewczątka i trwonił z nimi wiele pieniędzy. Pewnego dnia poznał Gruczka bardzo przystojną panienkę, Milczorkównę. Zakochawszy się w niej po uszy, zaczął chodzić w konkury i przebywał w domu rodziców uroczej niewiasty. Dowiedziała się o tem Gruczkowa, lecz zamiast zmyć porządnie głowę niewiernemu małżonkowi, poczęła swatać panienkę ze swym własnym mężem, opowiadając, że ona jest u niego tylko gospodynią i że go zna, jako dobrego i zamożnego człowieka, współwłaściciela fabryki belek w Częstochowie i t. p. W ten sposób przyspieszyła termin ślubu, który odbył się 1 kwietnia b. r. w Brzeźnicy, w powiecie radomskim. Niedługo cieszył się rzekomy fabrykant, a rzeczywisty ślusarz z zawodu, nowem szczęściem. Popełnione dwużeństwo wyszło na jaw. Sąd w Piotrkowie, który sprawę tę rozpatrywał, skazał Gruczkę na jeden rok więzienia, a żonę jego na 6 miesięcy. I tak chłopina przez cały rok nietylko dwóch, ale nawet jednej żony miał nie będzie.

Skrytobójcze morderstwo pod Łęczycą. We wsi Witonia pod Łęczycą został w skrytobójczy sposób zamordowany zamożny wieśniak tejże wsi 35-letni Teodor Byczkowski. Morderstwo zostało dokonane w momencie, gdy Byczkowski przechodził w nocy przez pole obok swego gospodarstwa. Dokonali go trzej nieznani dotychczas mężczyźni, ubrani w długie czarne płaszcze. Mordercy oddali do niego szereg strzałów rewolwerowych. Jedna z kul trafiła nieszczęśliwego w serce, powodując natychmiastowy skon. Na odgłos strzałów zerwała się na nogi cała wieś. Rzucono się w pogoń za zbrodniarzami. Ślady doprowadziły aż do Łęczycy, ale tu znikły; mordercy zdołali się ulotnić. Policja wytęża jednak wszelkie siły, aby ich ująć i pomścić śmierć lubianego przez całą wieś gospodarza. Należy się spodziewać, że ohydna zbrodnia nie ujdzie bezkarnie.

Zamach na pociąg pod Łodzią. We czwartek na odcinku kolei Łęczyca Łódź omal nie wydarzyla się katastrofa kolejowa. Na chwilę przed nadejściem pociągu osobowego, zdążającego do Łodzi, nieznani sprawcy położyli na torze 5 drewnianych wskaźników, długości 3 metrów, oraz sztabę żelazną. Maszynista pociągu dostrzegł zaporę, ale o zatrzymaniu pociągu nie było już mowy. Wobec tego zwiększył szybkość i w ten sposób lokomotywa zaporę przełamała. Po naprawieniu drobnych uszkodzeń, pociąg ruszył w dalszą drogę. Policja wszczęła energiczne dochodzenia.

Śmierć tajemniczej kobiety. Tragiczny wypadek wydarzył się w Warszawie na forcie Bema. Pełniący służbę wartownik, kanonier Romaniuk, zauważył nagle na kilkanaście kroków przed sobą sylwetkę kobiety. Na zawołanie wartownika „stój, kto idzie?“, kobieta nie usłuchała. Zgodnie z instrukcją wartownik zdjął karabin z ramienia i gdy kobieta szła wprost na niego, powtórzył ostrzeżenie i zmierzył do idącej. Trzeci raz krzyknął głośno, a gdy i teraz tajemnicza kobieta nie usłuchała wezwania, nacisnął cyngiel. Padł strzał, raniąc kobietę śmiertelnie. Warta zaalarmowana odgłosem strzału przybiegła na miejsce wypadku, gdzie znalazła nieznajomą kobietę w kałuży krwi. Wezwany lekarz stwierdził śmierć wskutek rany postrzałowej. Przy zabitej nie znaleziono żadnych dokumentów osobistych. Jest to kobieta młoda i ubrana dość przyzwoicie. Co robiła w okolicy fortu i dlaczego nie usłuchała wezwania wartownika, osłonięte jest tajemnicą.

Trup kobiety w koszu. Na dworcu w Brześciu nad Bugiem tuż przed odejściem pociągu osobowego warszawskiego nieznany mężczyzna usiłował wrzucić do wagonu bagażowego wielki kosz. Ponieważ postępowanie to było sprzeczne z przepisami o nadawaniu przesyłek i bagażów, służba kolejowa zatrzymała owego osobnika i otworzyła kosz. Okazało się, że wewnątrz znajduje się trup młodej kobiety z zakrwawioną twarzą, pozbawiony nawet bielizny. Przeprowadzone dochodzenia wykazały, że zamordowaną jest niejaka Rozalja Banasiówna, dziewczyna lekkich obyczajów, a tajemniczym „nadawcą“ strasznej przesyłki — rzemieślnik Zygmunt Maciejewski. On to popełnił zbrodnię zabójstwa na osobie Banasiówny. Nadmienić należy, że swego czasu, olśniony urodą Banasiówny, Maciejewski porzucił dla niej żonę i dzieci.

Ponura zbrodnia. Na pograniczu sowieckiem zginęła ze wsi polskiej niejaka Dorohowa, której mąż, będący na usługach bolszewików, przebywał w Rosji. Okazało się, że Doroha przekroczył potajemnie granicę i przy pomocy nieznanych wspólników zamordował w bestjalski sposób swą żonę, poczem chciał z powrotem przedostać się do sowietów, lecz został przytrzymany.

Żywcem spalona. Potwornego czynu dokonał onegdaj w miejscowości francuskiej Montaigne rolnik Ludwik Labbe. Żył on w wiecznej niezgodzie z swoją żoną, która była nałogową pijaczką. Labbe robił żonie nieustannie ostre wyrzuty z tego powodu, w obecności 14-letniej córki. Onegdaj po sprzeczce z mężem żona Labbiego udała się znów do piwnicy, zapewne w celu upicia się Labbe udał się za nią. Po gwałtownej wymianie słów Labbe rzucił się na swoją żonę i zaczął ją okładać kijem. Kobieta upadła nieprzytomna na ziemię i nie dawała znaku życia. Przerażony Labbe postanowił zatrzeć ślady swojej zbrodni. Wziął w tym celu naczynie z naftą i oblał ciało leżącej, potem je podpalił. Ale żona Labbego żyła. Kiedy ogarnęły ją z wszystkich stron płomienie, zaczęła krzyczeć i wzywać pomocy. Wówczas w mózgu Labbego rozegrała się potworna walka. Ratować ją, czy pozwolić jej zginąć? Bał się kary, gdyby się uratowała i wybrał to drugie. I patrzał się obojętnie na to, jak żona jego spaliła się żywcem. Potem pokropił jej ciało wodą, przyniósł lampę naftową i postawił ją obok zwłok spalonej, aby upozorować przypadek. Wezwał następnie córkę i opowiedział jej o strasznem nieszczęściu. Córka nie podejrzewając ojca o morderstwo, potwierdziła w zeznaniach słowa ojca o przypadkowem spaleniu się żywcem matki. Dopiero śledztwo wykazało prawdę. Labbego aresztowano i osadzono w więzieniu.

Nożyczki w brzuchu. We Florencji odbędzie się wkrótce niezwykły proces, jaki rodzina zmarłego nauczyciela Jana Carelli wytoczyła pewnemu lekarzowi, który za życia nieboszczyka dokonał na nim operacji wrzodu w kiszkach. Przeprowadzony przez chirurga zabieg dał znakomite wyniki i pacjent przyszedł wkrótce do zdrowia, zaświadczając tem o zdolnościach swego lekarza. Niezadługo jednak wystąpiły na nowo jakieś do-

legliwości wewnętrzne i wkrótce stan chorego pogorszył się do tego stopnia, że trzeba było przedsięwziąć drugą operację. I oto okazało się, że dobry chirurg oprócz lekkiej ręki i wrodzonego talentu winien jeszcze mieć dobrą pamięć — w wnętrznościach chorego znaleziono pozostawione tam przez lekarza nożyczki długości 14 cm. Nożyce te, rozumie się wyjęto, tem niemniej jednak pacjent zmarł. Obecnie lekarze dociekają przyczyny jego śmierci i zastanawiają słę nad rozwiązaniem bardzo ważnego zagadnienia, które będzie miało decydujące znaczenie dla sądu, a mianowicie: czy śmierć nastąpiła z powodu, iż chory nie mógł przyzwyczaić się do 14-centymetrowych nożyczek pozostawionych w jego kiszkach, czy też zmarł z innego, jemu tylko wiadomego powodu.

Krwawe igrzysko. Jak z Saragossy donoszą, w czasie onegdajszej walki jeden z ciężko rannych byków wdarł się tam na trybuny i stratował cztery osoby, które poniosły śmierć na miejscu. Ośm innych osób nadział byk na rogi i wyrzucił na arenę, gdzie legły martwe z pogruchotanemi członkami. Wśród widzów powstała nieopisana panika, w następstwie której 40 ludzi odniosło ciężkie rany.

Dom, w którym straszy. W jednym z domów w serbskiem mieście Zemlin pojawił się duch, który wywołał ogólne poruszenie. Ponieważ policja Zemlina okazała się wobec tego ducha bezsilna, wysłano z Belgradu urzędników policyjnych, którzy badają obecnie tę tajemniczą sprawę. Mieszkańcy tego domu, należącego do rodziny Jeremica-Capina, nie mają od kilku dni spokoju. Szczególnie w nocy słychać w całym domu głuche jęki, płacze i narzekania. Na schodach i kurytarzach słychać tajemnicze kroki, ale mieszkańcy domu nie widzieli nigdy ducha, chociaż niektórzy odważni czychali na niego. Kiedy straszenie po nocach stawało się coraz dotkliwsze, gdy nie ustawało przesuwanie mebli, rzucanie talerzami i naczyniami, przerażeni mieszkańcy skupili się w dwu pokojach, nie zaatakowanych przez ducha. Nie mogąc jednak spać, zwrócili się wkońcu o pomoc do policji, która obsadziła onegdaj cały dom. Według ostatnich wiadomości duch nie przestał mimo to straszyć.

Pomnik dla pierwszego palacza. W hiszpańskiem mieście Ayamonte powstał projekt postawienia pomnika obywatelowi tego miasta niejakiemu Rodrigo Jerez, który był pierwszym palaczem tytoniu w Europie. Rodrigo Jerez był jednym z trzech mieszkańców miasta Ayamonte, którzy towarzyszyli Kolumbowi w jego wiekopomnej podróży do Indyj, podczas której przypadek skierował okręt jego do brzegów Ameryki. Jedyny z owych trzech obywateli Ayamonte Jerez powrócił do miasta rodzinnego i przywiózł ze sobą prócz wielu rozmaitych osobliwości także liście tytoniowe, które nauczył się palić od czerwonoskórnych Indjan zamieszkujących Amerykę. Pierwsza jednak zapalona przezeń fajka oddała go w moc świętej inkwizycji i omal nie stała się przyczyną, że nieszczęsny nowator nie spłonął wraz z nią na stosie. W końcu jednakże jakoś mu się upiekło i zamiar upieczenia go żywcem został zaniechany, albowiem tytoń miał już wówczas zbyt wielu zwolenników wśród całej załogi Kolumba i jego przyjaciół, spalenie więc tych wszystkich palaczy przedstawiałoby zbyt dużo zachodu. Obecnie po przeszło czterech wiekach hiszpański monopol tytoniowy, czerpiący niemałe zyski z tak ryzykownego jak na owe czasy kroku Jereza, postanowił uczcić pamięć jego. Ponieważ dom rodzinny tego pierwszego palacza w Europie stoi dotychczas nienaruszony, więc prawdopodobnie utrzyma się projekt wmurowania w jego sędziwe ściany pamiątkowej tablicy.

Wdzięczność Chińczyka. Chińczycy nie należą do narodowości, którąby innym za wzór stawiać można. Jest to naród chytry, podstępny i nie gardzący żadnymi środkami, służącymi do dopięcia celu. Chińczyk umie jednak być wdzięcznym. Oto piękny tego przykład.



Wśród panujących niedawno zamieszek rewolucyjnych w Chinach pewien Europejczyk miał nieszczęście popaść w podejrzenie u powstańców chińskich i został stracony. Zemsta Chińczyków dosięgła i rodzinę nieszczęśliwego. Powstańcy złapali jego brata, żonę i dzieci i zawlókłszy do opuszczonej jakiejś stajni, skrępowali ich, zostawiając na pastwę strasznej śmierci głodowej. Ze strasznego położenia — jeńcy nie jedli już przez dwa dni — uratował ich pewien Chińczyk, odgrywając przez to rolę ducha oswobodziciela, powodowany uczuciem wdzięczności. Zamordowany bowiem przez powstańców ojciec nieszczęsnej rodziny wyratował był przed niedawnym czasem wdzięcznego Chińczyka od śmierci z rąk bandytów.

Tragedja polskiej rodziny w Kanadzie. Tragiczny dzień przeżyła rodzina Grygorczyków osiedla w stanie Winnipeg w Kanadzie. Pewnego wieczora Grygorczukowa, powracając z roboty w polu, zobaczyła ogromnego niedźwiedzia, który, idąc na tylnych łapach, w przednich niósł jej córkę i zmierzał do gęstwiny leśnej. Przerażona kobieta, choć nie miała broni przy sobie, rzuciła się w pogoń za drapieżnikiem. Niedźwiedź biegł jednak szybko i wkrótce znikł jej z oczu. Nieszczęśliwa matka zawróciła więc do domu. Przerażenie jej i rozpacz nie miały granic, skoro zastała izbę pustą bez śladu innych swych dzieci. W przekonaniu, że to niedźwiedź porwał wszystkie jej maleństwa, pobiegła do sąsiadów, ale tam okazało się, że obawy jej były płonne. Dwoje pozostałych dzieci schroniło się właśnie u sąsiadów. Przerażone, drżące powtarzały tylko słowo niedźwiedź i imię swojej siostrzyczki tak, że ludzie nie mogli z ich opowiadań nic zrozumieć. Dopiero matka przedstawiła im grozę położenia swego dziecka. Sąsiedzi uzbroili się w karabiny, siekiery, widły. Wezwano też policję z karabinem maszynowym i urządzono obławę. Niestety, niemal na skraju lasu znaleziono już tylko krwawe szczątki dziewczynki, poszarpane sukienki i pogryzione kości. Zrozpaczeni ludzie tem zacieklej gonili za drapieżnikiem. Dopędzony niedźwiedź wcale nie uchylał się od walki. Stanął na tylnych łapach, porwał kawał kija i rzucił niem w ludzi, poczem ruszył ku nim, wyciągając groźne pazury. Rozległo się terkotanie karabinu maszynowego. Niedźwiedź padł na ziemię. Wnet jednak powstał rozjuszony i kilku skokami dopadł najbliżej stojących. Celny strzał w ostatniej chwili położył go trupem. Było to olbrzymie niedźwiedzisko, mające 2 metry 70 cm. wysokości i ważące 200 kilogramów.

RZECZY CIEKAWE.

Królowa hiszpańska wnuczką Polki.

Królowa hiszpańska jest z domu księżną Battenberg. Jej ojciec Henryk, ks. Battenberg, ożeniony z córką królowej angielskiej Wiktorji, ks. Beatryczą, był synem ks. Hesji Aleksandra i jego morganatycznej małżonki Julji hr. Hauke, córki polskiego generała Maurycego hr. Haukego, ongiś szefa sztabu gen. Dąbrowskiego w legjonach. Generał Maurycy hr. Hauke był najzdolniejszym generałem armji Kongresowego Królestwa Polskiego — wedle świadectwa prof. Tokarza. Zginął przez przypadek 1830 r. z rąk podchorążych. Córka jego Julja poślubiwszy ks. Aleksandra heskiego otrzymała dla siebie i swych dzieci tytuł ks. Battenberg. Jej mąż ks. Aleksander heski walczył w armji rosyjskiej na Kaukazie (1845 r.), a później w austrjackiej na froncie włoskim (1859 r.) — i przeciw Prusakom (1866 r.). Syn Julji Hauke-Battenberg Aleksander, ur. 1855 r., został 1879 r. księciem Bułgarji. Swatano go z siostrą Wilhelma II. — znaną obecnie z romansu skandalicznego ks. Schauburg Lippe — Zubkow, która w ubiegły czwartek umarła. Bismarck sprzeciwił się temu małżeństwu, jak wspomina w swych pamiętnikach, ze względu na polską krew w żyłach ks. Battenberg.

Ks. Aleksander Battenberg bułgarski, stryj królowej hiszpańskiej, zrzekł się tronu bułgarskiego 1886 roku na skutek spisku, dokonanego przez carskich agentów. W 1889 r. poślubił śpiewaczkę Loisinger, 1890 r. otrzymał od cesarza austrjackiego dla siebie i żony tytuł hr. Hartenau, i otrzymał pułk w Grazu. Zmarł jako emerytowany generał austrjacki hr. Hartenau. Wdowa po nim żyje jeszcze w Wiedniu. Tak więc wnuki polskiego generała zasiadały na tronach Bułgarji i Hiszpanji.

Co to jest miljard.

Pewien mieszkaniec Genewy, amator osobliwości statystycznych, słysząc nieustannie o miljardach w złocie, zapragnął zbadać właściwości materjalne tych cyfr, zajmując tak poważne miejsce w budżetach państwowych.

Obliczenia jego dały wyniki następujące: miljard w złocie waży 322.580 kg. i przedstawia objętość 16.75 metrów sześciennych. Zamieniony na złotą nić o średnicy trzech czwartych milimetra, objąłby kulę ziemską w równiku. Ażeby przetransportować miljard w złocie, używając do tego zwykłych środków transportowych, tj. kolei żelaznej, potrzebaby 64 wagonów. Stopiwszy zaś miljard złotych franków, możnaby postawić 2 pomniki wielkości naturalnej całe z masywnego złota.

Cyfry te są rzeczywiście znacznie niższe od liczb, otrzymanych z obliczeń miljarda w srebrze. Waży on 5 miljonów kg. Jako srebrna linka o średnicy 4 mm, objąłby świat, a stopiony dałby 626 masywnych pomników wielkości naturalnej.

Aby unieść miljard w złocie, trzeba 6 tysięcy mężczyzn, miljard franków w złotych ludwikach, ułożonych obok siebie w prostej linji, zająłby przestrzeń 1.051 km., ustawiony w kolumnie dosięgałby wysokości 33.000 m., tj. ośm razy większej od Mont Blanc.

Ile lat żyją drzewa.

W niemieckich czasopismach ogrodniczych ukazała się ostatnio bardzo ciekawa statystyka, zajmująca się pytaniem, do ilu lat życia dochodzą poszczególne drzewa. Na podstawie specjalnych obserwacyj stwierdzono, iż do najbardziej sędziwego wieku dochodzą świerki, które żyją przeciętnie do 700 lat. — Z kolei następują jodły, które osiągają przeciętnie 425 lat życia, dalej palmy, dochodzące przeciętnie do 300 lat, modrzew 275 lat oraz buki, żyjące przeciętnie 245 lat. Ponad 100 lat żyją ponadto: brzoza, jesion, wiąz i bez. Oczywiście statystyka niniejsza obejmuje tylko wiek przeciętny, tak, że zdarza się, iż niektóre drzewa mogą w danych okolicach żyć jeszcze dłużej. W każdym jednak razie ludzie mogą zazdrościć drzewom długowieczności.

Jakim językiem mówi najwięcej ludzi.

Najwięcej ludzi, bo 435 miljonów, mówi językiem chińskim. Gdybyśmy zatem sądzili o znaczeniu kulturalnym danego języka dla świata, to w takim razie należałoby postawić Chiny na pierwszem miejscu. Tymczasem tak nie jest, a to z tego względu, że dla świata ma znaczenie kulturalne ten język, którym mówi najwięcej ludzi poza jego ojczyzną. Pod tym względem na pierwszem miejscu stoi język angielski, używa go bowiem w samej Anglji tylko około 50 miljonów ludzi, zato poza granicami Anglji przeszło 100 miljonów w Ameryce, kilkanaście miljonów w Australji, Indjach, Egipcie i t. d.

Język rosyjski, pomimo że nim mówi 110 miljonów ludzi, stoi daleko w tyle poza językiem niemieckim, używanym przez 91 miljonów ludzi. Trzecie miejsce pod względem kulturalnym zajmuje język hiszpański, którego używa około 80 miljonów ludzi w Europie, Ameryce i Azji, a dopiero na czwartem miejscu (45 miljonów) stoi język francuski, wreszcie na piątem (41 miljonów) język włoski.

Oprócz chińskiego najwięcej rozpowszechnione są w Azji (80 miljonów) języki: japoński i koreański.

Nieprzemakalne obuwie.

Aby obuwie uczynić nieprzemakalnem, należy zmieszać i zagotować w kamiennem naczyniu 125 gramów żółtego wosku, taką samą ilość łoju, 5 gramów gumy i pół litra oleju makowego. Już po zagotowaniu, gdy ta mieszanina jest jeszcze letnia, wziąć szczotkę, pendzel czy poprostu szmatkę i rozetrzeć dość grubą warstwę tej mieszaniny na obuwie. Jednak przed taką operacją obuwie musi być zupełnie suche. Ten sposób doskonały jest zwłaszcza dla myśliwych czy rolników, którzy całemi godzinami chodzić muszą po mokrej ziemi, a nieraz wprost po wodzie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Franciszek Macioł** w S. B.: Nie zaprzeczam, że tak cenne słowa uznania dla mojej pracy są mi nadzwyczaj miłe. Pisze Pan: „Sympatja, jaką czujemy do Pana, każe nam zapomnieć o wielkiej różnicy stanów i robi nas tak śmiałymi, gdyż my z każdego numeru kochanej „Roli" odczuwamy, jak Pan dobry jest dla nas. W imieniu tego ludu, któremu w znojnej pracy osładzasz chwile kochaną „Rolą", za ten trud, naprawdę ciężki, wołam: „O cześć Ci, cześć!" Sympatja ta jest więc wzajemna, kocham swych braci z pod wieśniaczej strzechy, gdyż sam z pod niej wyszedłem i gdyż na to w swej ogromnej większości zasługują. Charakterem swym przewyższają oni niejednokrotnie tych, którzy im przykładem świecić powinni. A oto jeden z wielu przykładów: Przed trzema laty zgłosił się do nas pewien hrabia z prośbą, abyśmy w „Roli" umieszczali jego odezwy, komunikaty i ogłoszenia, za co zobowiązał się płacić stale miesięcznie umówioną kwotę, jak również zgłosił wysyłkę większej ilości egzemplarzy „Roli" na jego koszt. Wierzyliśmy temu hrabiemu i drukowaliśmy, co nadesłał, a wierząc na słowo, nie zawieraliśmy piśmiennej umowy. Gdy przyszło płacić, pan hra-

bła tak za wysyłkę „Roli“ jakoteż za reklamy zapłacić nie chciał. Co było robić, straciliśmy kilkaset złotych. A przykład inny: Przed dwoma laty przyszedł do Redakcji biedny chałupnik z pod Krakowa i oświadczył nam ze łzami w oczach, że dalej „Roli“ prenumerować nie będzie, gdyż całe mienie, jakie posiadał, padło pastwą płomieni. Ponieważ winien był prenumeratę za kwartał, prosił, aby mu zaczekać, to gdy gdzieś parę złotych zarobi, zwróci ją niezawodnie. Powiedzieliśmy mu, że nietylko nie żądamy od niego zwrotu zaległości, ale nawet będziemy mu bezpłatnie „Rolę“ posyłali dalej przez cały rok. I posyłaliśmy. I cóż się stało? Oto po upływie roku biedny chłopina przyniósł nam pieniądze i za ów zaległy kwartał i za cały następny rok, a gdyśmy się wahali w ich przyjęciu, oświadczył, że on darmozjadem nie jest i z cudzej pracy korzystać nie chce. Wiedział on, że wydawnictwo walczy z trudnościami finansowemi i nie chciał mu dochodów uszczuplać. Przyzna chyba Pan, że ów biedny chałupnik na większy szacunek zasługuje, aniżeli dziesięciu takich hrabiów, o jakim wspomnieliśmy na początku. Prawda, ma lud nasz liczne wady, ale stokroć więcej ma zalet i za nie szanować go i kochać należy. Pod wskazanym adresami „Rolę“ wysłaliśmy. P. Mackowska z B. „Rolę“ już zaprenumerowała — Dziękujemy za starania. Z pierwszego kwartału może Pan otrzymać Nr 2, 3, 4, 8, 9, 10, 11, 12 i 13. Dodatkowo „Rolę“ z afiszykami reklamowymi Panu wysyłamy. Może w sąsiedniej wsi dałoby się „Rolę“ zaszczepić. Posłalibyśmy kilka egzemplarzy do sprzedaży. Wzajemnie pozdrawiamy Pana. — **Józef Cieplik** w P.: Broszury te już wyczerpane. — **Augusta Wagnerówna** ze Sz.: Maciuś za gratkę ślicznie rączki całuje. Nie umieściliśmy w „Roli“, bo przez lato Czytelniczki „Roli“ o Maciusiu zapomniały. Jednego lub dwóch nazwisk nie zamieszczaliśmy, czekając, aż się więcej zbierze. Zasyłamy pozdrowienia. — **Jan Barcik** z K.: Kasia nie gada w „Roli“, bo ją malarz źle namalował. Jak uskłada sobie parę złociaków to pojedzie do Krakowa „do fotografji“ i może po Nowym Roku się w „Roli“ odezwie. — **Władysław Płomiński** w M.: Artykuł bardzo dobry, przyszedł jednak do poprzedniego numeru zapóźno; w obecnym byłby już spóźniony. Schowaliśmy go do teczki, może później się przyda. — **Franciszek Charas** w K.: Rozdział pierwszy dobry, ale bez przeczytania całości nie możemy go drukować. Niejeden utwór początkowo dobrze się zapowiada, a zakończenie zepsuje go zupełnie. I przeciwnie. — **„Be-ge“:** List z rozwiązaniem zagadek z Nru 44 przyszedł spóźniony. Nadesłane wierszyki są miłe, ale forma jeszcze niewykończona. Nowelka konkursowa nadeszła. — **Zbigniew Foltyn** w J.: Zupełnie nie nadaje się do druku. — **Jan Pelczar** w W. S.: Otrzymaliśmy, zamieścimy i dziękujemy. — **Karol Nowalany** w Z.: Utwory konkursowe można nadsyłać do dnia 15 grudnia b. r. Mogą to być nowele, humoreski, bajki, artykuły poważne i t. p., nieprzekraczające jednak 140 wierszy druku. Koniecznie muszą być własnego pomysłu, a nie zasłyszane nigdzie lub co gorsza odpisane. Przepisywać cudzych rzeczy bezwarunkowo nie można, gdyż to jest zwykła kradzież i można być za to, jak i za inną kradzież karanym. Kto tylko ma jaki taki talent, to może łatwo nawet rzecz bardzo dobrą napisać, gdyż życie daje tysiące tematów. Inna rzecz, że nad utworem trzeba popracować, a nietylko napisać go i posłać. Autorzy nagrodzonych utworów oprócz ładnej książki będą mieli to zadowolenie, że ich praca nie poszła na marne, lecz stała się bądź rozrywką, bądź pouczeniem dla innych.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Augusta Wagnerówna ze Szczakowej z okazji złotego wesela swych Rodziców 2 zł., Władysław Mirek z Naprawy 1 zł., Jackowski z Morawicy 50 gr. dla Maćka, Władysław Rudek z Bortkowa dla Maćka 1 zł., Wawrzyniec Miesiączek ze Złatnej 60 gr. dla Maćka, Wincenty Puchała z Morszyna 2 zł. dla Maćka, Stanisław Targosz z Krakowa-Płaszowa 1 zł. dla Maćka.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Adam Galer z K.).

☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Robota.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kwiaty.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Przyzwyczajenie.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Inaczej straż.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Konstelacja
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Choroba.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Rodzaj łodzi.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Drzewo.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Budynek wiejski.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzemieślnik.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Piękność.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak domowy.

Litery początkowe, czytane z góry na dół dadzą tytuł dzieła wielkiego poety polskiego.

2. Zagadki.

(Ułożył Jan Smaza z Z.).

I.

Pierwsze drugie, w całym świecie to co-
[dziennie bywa,
W drugą pierwszą przed pogonią zwierzę
[się ukrywa.

II.

Pierwsza druga to jest rzeka w odległej
[krainie.
Drugie pierwsze brały udział w światowej
[wojnie.

III.

Pierwsze drugie to choroba, wszystkim lu-
[dziom znana,
Drugie pierwsze to jagoda, po mrozie zbie-
[rana.

IV.

Pierwsze drugie to dziewczynki na imię
[miewają,
Drugie pierwsze zaś do pieców tego uży-
[wają.

V.

Pierwsze drugie główkę pięknie ozdabiają,
Drugie pierwsze do ważenia w sklepach
[używają.

VI.

Pierwsza z drugą tnie jak z płata,
Druga z pierwszą, to opłata

3. Kryptogram.

(Ułożył M. Blum z W.).

Je . y . ą . . e . ja . . o . . ią. . . ó . a
ha . . i . . . o . wi . a, je . . . . ó . . ia . . . o.

Dopełniwszy spółgłoski otrzymacie zdanie Bolesława Prusa.

4. Układanki.

(Ułożył M. Blum z W.).

Sprzęt kuchenny + spółgłoska + spółgłoska = zwierzę.

Woda w pewnym studjnm + nuta = sprzęt do codziennego użytku.

Stacja morska + samogłoska + prowincja rzymska = państwo.

Trunek + związek = państwo.

Spółgł. + samogłos. + roślina = stolica europejska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rzwiązań upływa dnia 30 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 45 „Roli“: 1. Logogryf: Jacek Malczewski. 2. Szarady literowe: I. Redaktor. II. Miłość. III. Słowacki. 3. Łamigłówka kratkowa: Sahara.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Alfons Czader z S. W., Józef Kopacz z S., Marja Woźniakiewicz z G., Jan Wyrobek z J., Michał Kusz z Ł., Antoni Markiewicz z M., Aleksander Krutikow z K., Jan Gara z W., Marjan Wietrzny z L., Józef Topolski z B., Piotr Olearski z Ł., Franciszek Niedbała z T., Stefan Jaworski z P., Leonard Woźniczko z O., Józef Wójtowicz z Z., Franciszek Macioł z S. B., Walenty Bal z S. B., Franciszek Surówka z N.

Nagrody wylosowali pp.: Józef Kopacz z S. i Władysław Badura z P.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Filozofja Magdy.

— Magda! a dyć ten twój kawaler o dwa roki młodszy od ciebie?

— Kaj tam o dwa, o rok ino.

— A przecie tu w mentryce dobrodziej wypisali jemu tylko 24 roków, a tobie aze 26?

— Dyć prawda, aleście chyba zabacyli co ja bez cały roku chorzałam obłożnie, odrachujcie to ino, to zostanie akurat 25 roków.

Po chrześcijańsku.

Majster kunsztu szewskiego Jacenty Przyszczypka, umierał na delirium tremens z pijaństwa, ale na chwilę przed śmiercią prosił o kieliszek wódki.

— Człowieku — rzecze doktór — przecież to ci zaszkodzi, wódka zawsze była twoim wrogiem...

— Panie doktorze — odrzekł szewc — daleko szkodliwiej iść na tamten świat, nie pogodziwszy się ze swoimi wrogami.

Przy drzwiach.

— Nie bój się pan, panie bankierze, tego pieska, on szczeka, ale nie ukąsi... A pójdziesz!...

— Ja jemu sze nie potrzebuję bacz, tylko un fałszywie szczeka, a ja jestem strasznie muzykalny.

W redakcji.

Sekretarz: Panie redaktorze, był tutaj ten jegomość, o którego skandalu pisaliśmy wzmiankę. Groził, że redaktora pobije.

Redaktor: I cóżeś mu pan powiedział?

Sekretarz: Powiedziałem mu, że bardzo żałuję, ale pana redaktora niema w tej chwili w redakcji.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 12 listopada b. r

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·02 do 1·60 zł.	Jałownik	od 1·05 do 1·70 zł.
Woły . .	od 1·15 do 1·78 zł.	Cielęta .	od 1·80 do 2·90 zł.
Krowy .	od 0·80 do 1·55 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·10 do 2·80 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 3·05 do 3.58

Giełda płodów rolniczych

z dnia 15 listopada b. r.

Pszenica .	40·00—40·50	Słoma długa	8·50—9·50
Żyto .	25·50—26·00	Ziemniaki stoł.	6·00—7·00
Owies . .	22·00—23·00	Koniczyna nasienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	23·00—25·00		
Fasola biała	98·00—103·00	Mąka żytnia	42·00—43·00
Groch zwyk.	48·00—50·00	Mąka pszen.	74·00—75·00
Siano słodk.	11·00—12·00	Otręby pszen.	15·50—16·00
Łubin żółty	28·00—29·00	Otręby żytnie	16·00—00·00
Koniczpastew.	13·00—15·00	Mąka czerw.	19·00—20·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.